gdy słyszysz serce uderzające o kamień

Relacja człowieka,
który przeżył zamach

Adrian Pracoń

MASAKRA NA WYSPIE UTØYA

Pisk w uchu narastał. Był tak głośny,
że mógłbym przysiąc, iż on też go słyszy.
Cicho, pomyślałem. Proszę, bądź cicho.
Ale nie mogłem pozbyć się tego dźwięku.
Wstrzymałem oddech. Ustało drżenie,
które przez ostatnią godzinę przelewało się
przez moje ciało. Wtem poczułem słabe ciepło
tuż przy uchu. Ciepło lufy karabinu.
Moje serce biło o kamień.
Wtedy pociągnął za spust.

ADRIAN PRACOŃ

Norweg polskiego pochodzenia.
Wychowywał się na małym robotniczym
osiedlu Gulset w Skien w Norwegii.
Ocalał z masakry na wyspie Utøya.
Breivik strzelił do niego z bliska,
ale kula trafiła w ramię. Spisał własne przeżycia
i wspomnienia. Chciał przedstawić światu
swoje świadectwo oraz pojąć sens tragedii.

MASAKRA NA WYSPIE

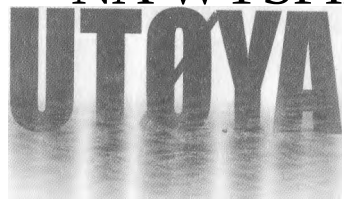

Adrian Pracoń

Przetożyta: Katarzyna Tunkiel

MASAKRA NA WYSPIE UTØYA

Pascal

Tytuł oryginalny: Hjertet mot steinen
Autor: Adrian Pracoń, współpraca Erik Molier Solheim
Tłumaczenie: Katarzyna Tunkiel
Redakcja: Mirosław Ruszkiewicz
Korekta: Justyna Tomas
Projekt graficzny okładki: Aleksandra Zimoch
Zdjęcie na okładce: Pit Greenwood/Getty Images/FPM,
Irina Alyakina/Dreamstime.com
Skład: IMK
Redaktor prowadząca: Barbara Filipek
Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

Copyright © CAPPELEN DAMM AS 2012
Copyright © for the introduction by Erik Molier Solheim
Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

This translation has been published with the financial support of NORLA

Bielsko-Biała 2013

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.
ul. Zapora 25
43-382 Bielsko-Biała
tel. 338282828, fax 338282829
pascal@pascal.pl
www.pascal.pl

ISBN 978-83-7642-201-5

SPIS TREŚCI

Jezioro 7

Wspólnota 12

Atak 60

Szpital 119

Dzień drugi 141

Ksiądz 149

Uroczystości upamiętniające 157

Spotkanie w sądzie 174

Posłowie 184

Podziękowania 191

JEZIORO

Pierwsze dobiegające z lasu strzały rozlegają się zaledwie parę minut po tym, jak siadam. Wszystkie zmysły się wyostrzają. Przede mną znajduje się jezioro. Za mną kończy się las. Wokół mnie siedzą przyjaciele, niektórzy przy stole, niektórzy na trawie, inni na leżakach lub krzesłach kempingowych. Rozmawiają i śmieją się. Nikt nie reaguje na dźwięki. Czy tylko ja rozumiem, że coś jest nie tak? Serce zaczyna bić szybciej. Ściska mnie w piersi. Po kolejnej salwie strzałów, szybkiej serii huków wreszcie udaje mi się powiązać fakty. Przecież Christian mnie uprzedzał.

- Wiesz, że w pobliżu jest strzelnica? - zapytał.
- Tak, tak - odparłem. - W porządku.

Sam nieraz chodziłem na strzelnicę. Dopóki byłem przygotowany, myślałem, że będzie dobrze, jednak po ucichnięciu drugiej serii strzałów czuję, jakby coś się

przelało, jakbym nie mógł już więcej *znieść*. Czyżby miał nadejść kryzys?

Zaledwie parę dni temu wyszedłem ze szpitala i od tamtej pory nie spałem. Powrót do domu, do mojego starego pokoju, tylko pogorszył sprawę. W szpitalu było inaczej - natłok nowych uczuć, wrażeń. Ale takiego doświadczenia nie dało się zabrać do pokoju w suterenie w domu mamy. Nie dało się zamknąć oczu i zasnąć. Zażyłem podwójną dawkę tabletek nasennych, lecz w ogóle mi nie pomogły. Za każdym razem, gdy zamykałem oczy, pod powiekami pojawiały się nowe obrazy. Po dwóch dniach byłem wycieńczony.

Przecież nie mogę odmawiać sobie spotkań z przyjaciółmi? Christian zebrał w swoim domku letniskowym wszystkie osoby z klasy, aby pokazać, że mnie wspierają. Niezwykła inicjatywa jak na niego. To błazen, który całą zimę spędza, jeżdżąc na snowboardzie. A teraz nagle chciał okazać troskę, co czyniło jego zaproszenie wyjątkowo wzruszającym.

Gdy otworzyłem furtkę, większość gości już tam była. Przytulali mnie i pocieszali. Na początku szukali odpowiednich słów, nie wiedzieli, jak się zachować, ale po pierwszym żarcie atmosfera się rozluźniła.

Wspaniale było znów się śmiać. Wyzwalające uczucie bycia sobą. Siedziałem na trawie w cieniu drzew i cieszyłem się widokiem wszystkich moich przyjaciół. Mojego psa Mikea, długowłosego owczarka australijskiego, który leżał przywiązany do drzewa przy jeziorze. Pomyślałem, że dam sobie radę, że uda mi się zostawić to za sobą, lecz gdy rozległy się strzały, wszystko od razu wróciło. Brzmiały dokładnie tak jak tamtego dnia.

Przy trzeciej serii udaje mi się zająć myśli czymś innym. Ktoś chce się kąpać w jeziorze. Rana na moim ramieniu jeszcze się nie zagoiła, do tego przykrywa ją duży opatrunek, więc nie mogę się zamoczyć. Za to Mikę drepcze za nimi. Chce do wody. Na brzegu jeziora położyli paletę, która pełni funkcję pomostu. Kilkaset metrów dalej leży mała wyspa porośnięta świerkami. Mężczyzna, który przez ostatnią godzinę pływał tam i z powrotem między wyspą a kempingiem, wraca właśnie do brzegu. Przyjaciele zrzucają ubrania. Koszulki, spodnie i buty zostają na kamieniach. W mojej głowie rozgrywają się sceny. Są bardzo wyraźne, trudno oddzielić je od tego, co widzę przed sobą. Obrazy kolegów i koleżanek rozbierających się tego dnia na cyplu. Byli

tacy spokojni. Już wtedy powinienem był zrozumieć, co się wydarzy.

Stawiają pierwsze, ostrożne kroki w wodzie. Gdy byłem mały, w wody tego jeziora, Heivannet koło Skien, wpadł mi pierścień nastroju, który mama kupiła mi w Polsce podczas wizyty u krewnych. Miał duże, okrągłe oczko, które zmieniało kolor w zależności od mojego humoru, a zgubiłem go, bawiąc się na plaży przy kempingu.

- Oddałeś pierścień jezioru - powiedział później tata. - Możliwe, że to jezioro należy do gminy, ale tylko ty jesteś mu zaślubiony.

Od tamtej pory, przejeżdżając tędy, często myślałem o tym pierścieniu.

Teraz znów o nim myślę. O zmieniającym kolor oczku, które leży gdzieś na dnie. Moi przyjaciele rzucają się wpław. Ciemna toń otacza ich nagie plecy, a ja przypominam sobie dziewczynę, która brodziła w wodzie, oddalając się od cypla. Nie udało jej się uciec. To nie pierwsze wspomnienie z 22 lipca, które bez ostrzeżenia wypływa na powierzchnię. Myślę o pogrzebach. Jutro mam wziąć udział w pierwszym z nich, więc dzisiaj muszę zadzwonić do kwiaciarni, zanim ją zamkną.

Ludzie w jeziorze wymachują rękami i nogami. Ochlapują się nawzajem. Szturchają się pod wodą. Krzyczą. Mikę wskakuje do wody i zasapany płynie w ich stronę. Instynkt podpowiada mu, że trzeba ich ratować. Nie rozumie, że są bezpieczni.

WSPÓLNOTA

Z lotu ptaka Utøya przypomina mały kawałek Norwegii. Około dwunastu hektarów porośniętych roślinnością, pieczołowicie wyciętych ze stałego lądu i rzuconych na wody fiordu Tyri, pięćset pięćdziesiąt metrów od brzegu. Od strony północnej i zachodniej wyspa wygląda niczym kobierzec świerków i sosen, ostro urwany przez klify schodzące do fiordu. Na rozciągniętym obszarze na południu liczne drzewa liściaste rosną aż po samą wodę, jakby nie miały miejsca gdzie indziej.

Pośrodku tego gąszczu znajdują się cztery otwarte przestrzenie, niektóre częściowo połączone z sobą. Jedna z nich leży po zachodniej stronie wyspy i wychodzi na stały ląd. Nabrzeże tworzy tam stary, popękany mur, który ciągnie się pochyło od wody i zachodzi na brzeg. Stąd wyruszają wszyscy od-

wiedzający Utøyę. Tutaj zaczyna się ścieżka, która biegnie koło boiska piłkarskiego, rozpościerającego się za dębami po prawej stronie, i prowadzi aż do najwyższego punktu wyspy. Po drodze przecina płaskowyż, na którym trzy stare budynki otaczają niewielkie podwórze. Ich obecność jest oczywista. Stoją tam, jakby wyrosły z żyznej gleby, podobnie jak wszystkie drzewa wokół. Są to spichlerz, duża, czerwona stodoła oraz główny budynek, który jako pierwszy przyciąga uwagę - biała willa w szwajcarskim stylu.

Z daleka dom wygląda olśniewająco i zbytkownie. Dziesięciometrowe schody prowadzące prosto na trawnik. Maszt z czerwoną flagą AUF-u[1], młodzieżówki Partii Pracy. Wejście z okiennicami otwartymi na przestronny taras u szczytu schodów.

Z bliska widać jednak, że zabudowania - nie tylko sama willa, lecz także budynki wokół - noszą wyraźne ślady działania czynników atmosferycznych. Farba łuszczy się na deskach, a kit przy parapetach kruszy się. Płyty chodnikowe usiane są pęknięciami, markizy zaś mają brązowe plamy pleśni. Nie szko-

[1] AUF (Arbeidernes Ungdomsfylking) - Młodzieżowa Liga Robotników.

dzi to urodzie budynków, a jedynie sprawia wrażenie czegoś kruchego, godnego ochrony. Czegoś, co przetrwało wiele dekad intensywnego użytkowania i wytrzyma jeszcze kolejne długie lata.

Główny budynek pełni funkcję centrali operacyjnej podczas obozów letnich AUF-u na wyspie Utøya. Stąd wszelkie informacje rozchodzą się do uczestników - czasami za pomocą tablic ogłoszeniowych rozwieszonych w różnych częściach wyspy, a czasem przez głośniki. Z mikrofonu w pokoiku za recepcją sygnały głosowe przesyłane są siecią kabli. Jeden z nich prowadzi do staromodnego megafonu wiszącego na dębie przy boisku. Inny biegnie na południe wyspy, do drzewa przy małej leśnej polance, gdzie znajduje się świetlica. Trzeci ciągnie się przez podwórze, koło stodoły, a dalej po stromym wzgórzu do drzewa stojącego przy stołówce.

Ten pomalowany brązową bejcą, podobny do baraku budynek, w którym mieszczą się kiosk, jadalnia, parę sypialni i dwie aule, stanowi centralny punkt największej otwartej przestrzeni na wyspie. Stoi na rozległej, porośniętej trawą równinie otoczonej złoty-

mi pniami sosen. To spokojne miejsce, lekko opadające w kierunku południowej części wyspy, zajmuje pole namiotowe.

To tutaj mieszka zdecydowana większość spośród siedmiuset uczestników dorocznego letniego obozu AUF-u. Jeżeli uznać główny budynek za mózg wyspy Utøya, pole namiotowe jest jej sercem. Przez całą dobę równy strumień uczestników przelewa się przez ten teren. To tutaj najlepiej można doświadczyć pobytu na wyspie. Na polu namiotowym czuć narastający i słabnący puls obozu. Od momentu, gdy temat przewodni z kreskówki *Gumisie* rozlega się z głośników o dziewiątej rano i pierwsze, zmęczone twarze wyglądają z namiotów, aż do zapadnięcia zmroku i zapalenia świateł pod kołdrami, kiedy pole wygląda jak rozświetlone chińskimi lampionami w odcieniach zieleni, żółci, czerwieni i błękitu.

To tutaj stanąłem we wtorek, 19 lipca 2011 roku, z namiotem, śpiworem i plecakiem. Miałem dwadzieścia jeden lat i rozpoczynałem swój pierwszy obóz. Nie wiedziałem za bardzo, co mnie czeka. Kierownictwo AUF-u szczegółowo przedstawiło mi

program i regulamin obozu. Przyjaciele z organizacji z wielkim zachwytem opowiadali o wszystkich ministrach, którzy przemawiali na wyspie, o tym, że obóz to idealne miejsce dla młodych ludzi, którzy chcą zajmować się polityką. Twierdzili, że pobyt na Utøyi może otworzyć nowe drzwi i możliwości.

A jednak nie spodziewałem się zbyt wiele. Może dlatego, że byłem jeszcze świeży. Kumpel zwerbował mnie do AUF-u w lutym. W maju zgłosiłem się na obóz, a później o wszystkim zapomniałem. Dopiero gdy zostałem sekretarzem okręgowym dwa tygodnie przed rozpoczęciem obozu, zacząłem planować wyjazd. Wszystkie przygotowania i zakupy odłożyłem na ostatnią chwilę. Najpierw musiałem zrezygnować z dyżurów w barze w Skien, gdzie pracowałem wieczorami i w weekendy. Później trzeba było zorganizować opiekę dla Mikea, a na koniec załatwić wszystkie sprawy w organizacji.

Jako sekretarz okręgowy byłem jedynym pracownikiem administracyjnym AUF-u w Telemarku. Do moich zadań należało wszystko: od rekrutowania nowych członków po czytanie lokalnej prasy i wspieranie licznych młodych polityków okręgu. Poza tym oczekiwano ode mnie, że będę wykony-

wał prace przygotowawcze dla delegacji Telemarku również podczas trwania obozu. Przez ostatni tydzień przed rozpoczęciem obozu wyspie Utøya wszystko kręciło się wokół niego. W poniedziałek kierownictwo wezwało sekretarzy okręgowych z całego kraju na seminarium i spotkanie towarzyskie w głównej siedzibie młodzieżówki w Oslo. Skończyło się to imprezą i afterparty. We wtorek na pół przytomny wlokłem się przez ulice handlowe w poszukiwaniu namiotu, śpiwora i materaca. Udzieliłem wywiadu telefonicznego dziennikarzowi z lokalnej gazety „Yarden" na temat debaty o uczelni wyższej w Skien, po czym wsiadłem do mojego maleńkiego, podobnego do borówki peugeota 106 i pojechałem w stronę fiordu Tyri. Nie miałem więc zbyt dużo czasu, by rozmyślać o swoich oczekiwaniach.

Kiedy tego samego dnia wzięliśmy się za rozbijanie namiotów, gdy ludzie w zachwycie rozmawiali o pogodzie, która wbrew obawom okazała się całkiem dobra, a doświadczeni uczestnicy wspominali poprzednie obozy i dyskutowali o nadchodzących dniach, zacząłem zdawać sobie sprawę, że wezmę udział w czymś wyjątkowym.

Tydzień wcześniej ludzie z głównej siedziby ciężko pracowali, by przygotować wyspę na przyjazd obozowiczów. Sekretarz generalna Tonje Brenna skosiła trawę na boisku i polu namiotowym. Teraz na całym terenie stało dziewiętnaście wbitych w ziemię tabliczek, po jednej na każdy okręg. Nie rozbito jeszcze wielu namiotów, lecz w ciągu dnia plac miał się zapełnić, a przez kolejne pięć dni blisko siedmiuset młodych ludzi, wywodzących się z wszelkich możliwych środowisk i wyznających różne religie, miało mieszkać tu jeden obok drugiego. Korzystać z tych samych pryszniców i toalet, jeść w jednej jadalni. Jeśli dokonalibyśmy tego bez konfliktów, obóz byłby najlepszą ilustracją ideału wielokulturowej Norwegii, wyznawanego przez AUF.

Początkowo odstraszała mnie perspektywa spędzenia pięciu dni w tak bliskim towarzystwie nieznajomych. Jednak po przybyciu na wyspę chciałem, aby obóz natychmiast się zaczął.

Wtorek był przede wszystkim dniem przyjazdów. Swego rodzaju wigilią rozpoczęcia, podczas której ludzie w rytualny sposób docierali do obozowiska i rozpakowywali plecaki. Przewodniczący AUF-u Eskil Pedersen miał wygłosić apel otwarcia dopiero

o drugiej następnego dnia. Do tego momentu trzeba było jakoś zabić czas.

Na szczęście pozostali członkowie delegacji Telemarku przyjechali niedługo później. Wielu spośród nich znałem osobiście. Był tam Tim, przewodniczący oddziału AUF-u na Telemark, prawdziwy materiał na polityka, ulubieniec dziewczyn, zawsze elegancko ubrany. Była Ingvild, przewodnicząca delegacji okręgu, szesnastolatka, ale już bardzo dojrzała i mądra. Była Silje z Rjukan, zapalona działaczka o kolorowych włosach i zaraźliwym poczuciu humoru. Był tam też mój przyjaciel, Svein Gustaf z Skien, który właściwie dorastał w AUF-ie i na wyspie Utøya.

Przydzielono nam teren na samej górze pola namiotowego. Podobało nam się, że mamy blisko do kiosku i stołówki. Niestety cały ruch odbywał się tuż przy naszych posłaniach. Już kiedy rozbijaliśmy namioty, ludzie zaczęli przechodzić przez nasz plac w drodze do dalej położonych delegacji. Aby uniknąć zmniejszenia i tak już małego poletka, którym dysponowaliśmy, wiele osób musieliśmy poprosić o wybór innej ścieżki.

Poza tym humory nam dopisywały. Mieliśmy szczęście, bo utrzymywała się dobra pogoda. Rozrywki

dostarczała nam też rozłożona za nami delegacja z Nordlandu, która przez trzy godziny bezskutecznie usiłowała wznieść tradycyjny lapoński namiot *lawu.* Gdy wreszcie im się udało, okazało się, że zbudowali go w złym miejscu, i musieli zacząć od nowa. Nie wyglądali jednak na zrażonych. Podobnie jak my, bardzo cieszyli się na nadchodzące dni.

Tak pamiętam swój pierwszy wieczór na wyspie, kiedy teren powoli, lecz systematycznie zapełniały wielobarwne kopuły. Radość oczekiwania przyćmiewała wszystko inne.

Gdy się rozpakowaliśmy, poszedłem w stronę stołówki, by rozejrzeć się po terenie. Ze szczytu schodów prowadzących do kiosku widziałem całe pole namiotowe - od naszej delegacji aż po plac przy skraju lasu, zajmowany przez członków z Oslo i Akershus. Z powodu zagrożenia pożarowego przykazano nam, aby odległości między namiotami wynosiły co najmniej dwa metry, ale nikt się tym nie przejmował. Namioty rozłożone były gdzie popadnie, a odciągi prężyły się we wszystkich kierunkach. Wyjąłem telefon i zrobiłem zdjęcie, które wrzuciłem na swoją ścianę na Facebooku:

„Utøya: miejsce młodości, polityki i przyjaźni!”

Takie właśnie miałem odczucia i nikt nie mógł ich zniszczyć.

Letnie wieczory na wyspie Utøya wydają się długie, lecz kiedy wreszcie nadchodzi noc, zapadają iście egipskie ciemności. Na całej wyspie znajduje się tylko kilka źródeł światła. Jedna latarnia stoi przy nabrzeżu, koło statku MS „Thorbjorn". Ma wskazywać drogę kapitanowi podczas ostatnich kursów ze stałego lądu. Inna oświetla wejście do wielkiej sali w stołówce. Wraz z nadejściem zmroku większość osób chowa się więc w środku, w salach albo własnych namiotach, gdzie przy zapalonych latarkach kontynuuje się dyskusje, gry w karty czy śpiewy rozpoczęte przed zachodem słońca. Ja sam pierwszego wieczoru wylądowałem przy stole w jadalni, gdzie grałem w szalone ósemki i wojnę ze Sveinem Gustafem i jego przyjaciółmi.

W odróżnieniu od innych imprez organizowanych przez AUF na wyspie Utøya dzień i noc zlewają się w jedno. Nikt nie ogłasza końca dnia. Nikt nie stawia kropki nad i, mówiąc: „Do zobaczenia jutro o dziewiątej". Wszyscy uczestnicy poniżej osiemnastego roku życia, a było ich wielu, czuli się przez to, jakby zostali sami w domu, trafili do własnego państwa

liliputów, gdzie mogą samodzielnie wyznaczać granice. My, pozostali, byliśmy tak nieznacznie starsi, że nadal ceniliśmy sobie możliwość decydowania o własnych planach i uczestniczenia w wydarzeniu organizowanym przez nas i dla nas samych.

Nie oznacza to, że na wyspie nie było nikogo starszego albo że brakowało nam zwierzchników. Utøya ma swoją wyraźną hierarchię. Na szczycie znajduje się sekretarz generalna. Jako kierownik administracyjny AUF-u Tonje miała decydujący głos w większości poważniejszych kwestii. To dziewczyna w wieku około dwudziestu pięciu lat, której charakter pod każdym względem odzwierciedla nazwisko[2]. Tonje zawsze aż pali się do działania. Podczas naszego pobytu na wyspie nieczęsto zdarzało mi się widzieć, żeby się nad czymś zastanawiała. Od razu robiła to, co należy. Kiedy trzeba, bywała surowa, a gdy potrzebowaliśmy zabawy czy odrobiny relaksu, zawsze miała w zanadrzu uśmiech. Regularnie radziła się Eskila Pedersena, politycznie wybranego przewodniczącego AUF-u, oraz jego doradcy B&rda Flaaronninga.

Eskil, tak jak ja, pochodzi z Skien, ale nie znaliśmy się wcześniej. Wtedy zadzwonił, by powitać

[2] **Brenna - norw. ‘płonąć, palić się’.**

mnie w organizacji. Odbyliśmy krótką i przyjemną rozmowę. Sprawiał wrażenie troskliwego oraz ciepłego przywódcy, skorego do opieki nad osobami podległymi mu w strukturze systemu. Będąc przewodniczącym AUF-u, można liczyć się z podziwem niższych rangą członków, jednak Eskil zasługiwał na szacunek z wyjątkowo wielu powodów. Pierwszy przewodniczący AUF-u, który otwarcie przyznawał się do homoseksualizmu. Zawsze miał wszystko przemyślane. Pracę pod jego przywództwem uważałem za przywilej.

Tonje, Eskil i Bard nigdy nie zdołaliby sami kierować obozem. Ponieważ AUF jest organizacją młodzieżową, gdzie rotacja członków bywa duża, potrzebne są w niej osoby, które mogłyby przekazywać swą wiedzę nowemu narybkowi. Do takich osób należała Monica Bosei. Była po czterdziestce, ale wcześniej pełniła też funkcję sekretarza okręgowego. Zaczęła zarządzać wyspą w 1991 roku. Miała zajmować się tym jedynie przez krótki czas, lecz ostatecznie została na stanowisku. W 2011 roku Monica zorganizowała swój siódmy letni obóz. W środowisku AUF-owców była znana jako „Mama Utøya". Jak większość matek ciężko pracowała i poświęcała się młodzieży. Obecna

zawsze tam, gdzie trzeba było coś zrobić. Dawała z siebie wszystko, lecz dużo wymagała też w zamian. Nie znosiła guzdrania i niedokładności. W stałym sztabie współpracowników miała swojego partnera, Jona, dozorcę i kapitana statku MS „Thorbjorn" oraz Tronda Berntsena, policjanta, który pełnił funkcję strażnika na wyspie, odkąd tylko zawiadywała nią Monica.

Ci ludzie mieli pod sobą energiczną ekipę uczestników obozu, funkcjonujących pod wspólną nazwą grupy roboczej. Członkostwo w tej drużynie daje pewne przywileje. Podczas gdy pozostali obozowicze dostają zwyczajną opaskę na rękę, ludzie z grupy roboczej otrzymują własną, fioletową bluzę z kapturem i opaskę z napisem „Crew"[3]. Gdy inni muszą płacić 1000 koron za wyżywienie i zakwaterowanie podczas całego obozu lub 150 koron za dzień, oni mogą przebywać na obozie za darmo i nie muszą stać w kolejce po jedzenie.

Sekretarze okręgowi automatycznie stawali się częścią tej drużyny wolontariuszy, a jedną z pierwszych kwestii, w których musiałem podjąć decyzję, było to, czym chcę się zajmować. Ekipę podzielono na kilka grup, a każdą z nich dowodziła jedna osoba.

[3] **Crew - ang. 'załoga'.**

Najpierw Tonje zaproponowała mi grupę „Gotowość". Z początku brzmiało to świetnie, lecz kiedy zapytałem, na czym polega praca, odpowiedziała, że przede wszystkim chodzi o mycie toalet, wyrzucanie śmieci i inne czynności, dzięki którym trybiki wyspy pracują, jak należy. Sekcja „Ląd" również potrzebowała ludzi. Do ich zadań należało między innymi rejestrowanie wszystkich przyjeżdżających na obóz i wydawanie opasek tym, którzy zapłacili. A może chciałbym być majtkiem na pokładzie MS „Thorbjorna"?

Kolega zastąpił mnie podczas dwóch moich zmian w barze, ale i tak musiałem wrócić do Skien w środę i sobotę. Dlatego wolałem jak najwięcej czasu spędzić na wyspie. Tonje zaproponowała „Informację".

- Osoby z tej grupy informują uczestników o aktualnych wydarzeniach - wyjaśniła.

Zawahałem się.

- To nic, że jesteś nowy. Będzie dobrze - dodała. - Dowiesz się wszystkiego, co trzeba.

I tak się stało. W wielkiej sali poinformowano nas o ogólnych zasadach panujących na wyspie i o programie. Później dołączyliśmy do swoich grup. Mari West, kierowniczka naszego zespołu, przedstawiła nam zadania i grafik. Powiedziano nam, że w tym

roku po raz pierwszy jedna zmiana w grupie roboczej nie trwa dłużej niż trzy godziny. Wcześniej członkostwo w grupie często oznaczało rezygnację ze sporej części czasu wolnego, którym cieszyli się pozostali uczestnicy. Teraz zwiększono liczbę pracowników, a pracę rozdzielono bardziej równomiernie. Dzięki temu każdy mógł więcej się bawić. Moje zmiany miały trwać codziennie od piętnastej do osiemnastej. Mari poprosiła mnie dodatkowo, abym był pod telefonem, na wypadek gdyby miało wydarzyć się coś nadzwyczajnego.

W środę o dziewiątej rano na polu namiotowym rozległ się temat przewodni z *Gumisiów*. Najpierw przeszywająca fanfara, a zaraz po niej wesoła piosenka w galopującym tempie, której tekst w komiczny sposób kontrastował z widokiem ledwie wygramolonych z namiotów AUF-owców.

Zawsze zwycięskie, waleczne, rycerskie. Każda przygoda zapiera nam dech. Zobacz saaaaaam, jak Gumisie skaczę tam i siam!

Mój namiot stał na lekkim zboczu. Nierozważnie ułożyłem się do spania w złą stronę, więc rano

przywitał mnie silny ból głowy. Nadal ociężały po nieprzespanej nocy poprzedniego dnia wywlokłem się z namiotu. W jadalni spotkałem Sveina Gustafa, który wybierał się właśnie na swoją zmianę na stałym lądzie. Poza nim nie znałem na wyspie zbyt wielu osób, z którymi mógłbym spędzać czas. Na Utøyi zawsze można przysiąść się i zagadać do obcych, ale jeszcze nie czułem się pewnie. Skończywszy jeść, udałem się więc do sekcji informacyjnej, aby dowiedzieć się, czy mam coś do roboty.

Od stołówki teren schodzi stromo w kierunku głównego budynku, spichlerza i stodoły. Na końcu placu, w połowie drogi między wodą a najwyższym punktem wyspy, znajduje się też scena. Nazywa się ją „Wzgórzem" z tej prostej przyczyny, że jest położona na wzgórzu tworzącym naturalny amfiteatr. Tam, jeśli pozwala na to pogoda, odbywa się większość apeli i ważniejszych debat. W deszczowe dni spotkania można przenosić do wielkiej sali, ale to nie to samo. Wzgórze jest sceną Utøyi. Tego dnia na szczęście świeciło słońce, a niebo zakrywały tylko pojedyncze chmurki, więc to tam Eskil miał wygłosić apel otwarcia.

Przy scenie Mari wraz z grupką z sekcji informacyjnej pełną parą przygotowywała się do otwarcia. Mari

jest obowiązkową i energiczną kierowniczką grupy, która rzadko lub nigdy nie stoi z założonymi rękami. Gdy mnie zobaczyła, poprosiła, abym postawił flagi AUF-u w odpowiednich miejscach. Sześć z nich miało stać na schodach prowadzących do nabrzeża, po trzy z każdej strony tak, aby tworzyły szpaler przy drodze do głównego budynku. Sześć pozostałych miało pojawić się na scenie, po trzy z obu stron mównicy z nieobrobionej sosny. Zrobiłem to, o co prosiła, po czym pomogłem dziewczynie z mojej grupy przyklejać brzozowe gałązki na ścianach za sceną. Tymczasem wzgórze zaczęło się zaludniać. Powiadomiliśmy o apelu przez głośnik, więc coraz to nowi uczestnicy przychodzili i siadali na trawie.

Gdy o czternastej Eskil wszedł na scenę, wokół niej musiało się zebrać prawie siedmiuset obozowiczów. Wydawał się pełen energii i wigoru, rozpierały go duma i radość z powodu tegorocznego obozu. Stacja TV2 przysłała ekipę, która miała przygotować materiał filmowy z otwarcia, więc specjalnie z myślą o nich Eskil włączył do swojej mowy kilka ostrych ataków na politykę przetargową Erny Solberg[4]. Pre-

[4] **Erna Solberg (ur. 1961) - deputowana do norweskiego parlamentu i przewodnicząca Partii Konserwatywnej (Hoyre).**

mier Jens Stoltenberg powinien jego zdaniem mocniej zareagować na tę sprawę.

- Chcemy, aby Jens włożył rękawice bokserskie i bardziej postawił się przetargowej prawicy - ogłosił, co publiczność przyjęła gromkimi brawami.

Celem jego przemowy było jednak przede wszystkim zbudowanie napięcia związanego z oczekiwaniem. Zadanie miał proste, bo atrakcje aż kłębiły się w kolejce. Przemawiać miała Gro Harlem Brundtland[5]. Miało to być jedno z jej nielicznych publicznych wystąpień w tym roku i pierwsza od dziesięciu lat wizyta na wyspie Utøya. Ponadto swój przyjazd zapowiedzieli minister spraw zagranicznych Jonas Gahr Storę i premier Jens Stoltenberg. Świeciło słońce, a wszyscy mieli trochę mniej pracować, a więcej odpoczywać.

- To będzie obóz wszech czasów! - zawołał Eskil.

Nikt nie wątpił, że naprawdę tak myśli. Kiedy schodził ze sceny, towarzyszyły mu rytmiczne oklaski i głośne wiwaty. Nie zapomnę widoku, jaki ujrzałem,

[5] **Gro Harlem Brundtland (ur. 1939) - była premier Norwegii i przewodnicząca Partii Pracy. W latach osiemdziesiątych przewodnicząca Światowej Komisji ds. Środowiska i Rozwoju, w latach 1998-2003 dyrektor generalna Światowej Organizacji Zdrowia.**

gdy odwróciłem się w stronę wzgórza. Wszyscy podnieśli się, by nagrodzić go owacją na stojąco. Tylu oddanych ludzi w jednym miejscu.

Tym właśnie była Utøya.

Przyjechałem tam nieświadomy i zupełnie zielony. Teraz stałem w otoczeniu ludzi zachwyconych rozpoczęciem tegorocznego obozu i pomyślałem, że to będzie najlepsze lato w moim życiu.

Od tamtej chwili przestałem czuć się samotny na wyspie. Przysiadając się do czyjegoś stolika, bez problemu zaczynałem rozmowę, a w miejscach dla palaczy prowadziliśmy na ogół głośne dyskusje. Ludzie chcieli się poznawać. Oczywiście dało się zauważyć, że ktoś był tu wiele razy - sposób mówienia tych osób zdradzał, że prawie wszystkich znają. Na wyspie wytworzyła się kultura pełna żargonu i humoru zrozumiałego tylko dla wtajemniczonych, czego dowodem są nazwy nadane w ciągu lat tutejszym miejscom i łodziom. Ścieżka biegnąca przez wyspę w osi północ-południe, od głównego budynku do świetlicy, nazywa się E6[6]. Na pagórek w północnej

[6] **E6 - trasa europejska między szwedzkim miastem Trelleborg nad Morzem Bałtyckim a Kirkenes na północy Norwegii, niedaleko granicy z Rosją.**

części wyspy mówi się Stoltenberget[7] na cześć premiera. Mała motorówka z dziesięciokonnym silnikiem marki Johnson nazywa się Gro, a na północy, niedaleko plaży znanej jako Bolsjevika[8], znajduje się Ziemia Willocha, nazwana tak, by uczcić prawicowego adwersarza byłej premier[9].

Takich rzeczy można było jednak szybko się nauczyć. Niesamowite, jak prędko zapomnieliśmy o różnicach dzielących weteranów i pozostałych uczestników, kiedy obóz już się rozpoczął i wszyscy zaczęli z sobą rozmawiać. Dlatego konieczność opuszczenia wyspy była wyjątkowo nieprzyjemną perspektywą. Podczas gdy inni mogli kontynuować do późna dyskusje, śpiewać, grać i śmiać się, ja musiałem spakować torbę i wrócić do Skien do pracy.

Z wyspy wyjechałem chyba dość późno. Zapewne promem o dziewiętnastej, bo pamiętam, że się spieszyłem; jeszcze w samochodzie musiałem włożyć białą koszulę i krawat i popędzić, by zdążyć na swoją zmianę. Jadąc, myślałem o tym wszystkim, co mnie ominie.

7 Berget - norw. góra'.

8 Vika - norw. 'zatoka'.

9 Chodzi o Karego Willocha (ur. 1928) - członka norweskiej Partii Konserwatywnej.

Tego wieczoru organizowano *speed dating* i quiz. Szczególnie żałowałem, że nie wezmę udziału w *speed dating*. Miłość to ważna sprawa na Utoi. Nie bez powodu dróżkę biegnącą półkoliście wzdłuż najbardziej wysuniętego punktu wyspy nazywa się Ścieżką Miłości. Ludzie przyjeżdżający na Utøyę od razu się zakochują. Od czasów pierwszego obozu, który odbył się w latach pięćdziesiątych, na wyspie połączyły się niezliczone pary, spośród których wiele zawarło związek małżeński, a ich dzieci również przyjeżdżały na obóz i znajdowały tam miłość.

Planowałem przejść się Ścieżką Miłości dopiero w piątek wieczorem, kiedy wszystko trochę się uspokoi. Przez pierwszą dobę pobytu na obozie nie poruszałem się właściwie inną trasą niż między polem namiotowym a głównym budynkiem. Jednak to nie z powodu tak rozumianej miłości trafiłem do AUF-u i na Utøyę.

Dorastałem w Gulset, małym robotniczym osiedlu na wschodnich obrzeżach Skien. Mama Marta i tata Zygmunt pochodzą z Polski i można ich chyba nazwać typowymi produktami swoich czasów. Przed przyjaz-

dem do Norwegii tata pracował w hucie w Stalowej Woli, a na początku lat osiemdziesiątych brał aktywny udział w tworzeniu „Solidarności". Po zakazie działalności nałożonym na organizację przez komunistyczne władze, kiedy aresztowano wielu przywódców, w tym Lecha Wałęsę, rodzice nie mieli odwagi dalej mieszkać w kraju. Wyjechali. Najpierw do Wiednia, gdzie dzielili mieszkanie z pięcioma innymi rodzinami. Później do Norwegii, do Trondheim, mieszkali tam przez krótki czas, zanim wreszcie osiedlili się w Skien. Tutaj tata znalazł pracę w dużej fabryce, a mamę zatrudniono jako pomoc w domu opieki. Odkładali pieniądze, dalej się kształcili, aż z czasem trafili na lepiej płatne stanowiska - tata jako inżynier elektryk, a mama jako pielęgniarka.

Rozstali się, gdy miałem pięć lat. Moja siostra Katharina, border collie Billi i ja mieszkaliśmy u mamy w tygodniu, a u taty w weekendy. Zamiast jednego domu nagle rodzice mieli na utrzymaniu dwa. Zwłaszcza mamie było ciężko. Przez dłuższy okres właściwie sama wychowywała siostrę i mnie, bez samochodu i dobrze płatnej pracy. Rodzice dużo przecierpieli, abym mógł z siostrą żyć na norweskim poziomie, więc bardzo liczyły się dla nich

nasze wyniki w nauce. Gdy nie przykładałem się do lekcji, mogłem się spodziewać, że powiedzą mi coś do słuchu.

- Nie ma wykształcenia, nie ma pracy. Nie ma pracy, nie ma pieniędzy. Nie ma pieniędzy, nie ma możliwości - mawiała mama.

Nie chciała wcale, abym był bogaty. Wielu moich przyjaciół z liceum otwarcie popierało politykę Partii Postępu[10]. Kiedy powtarzałem ich argumenty przy obiedzie, mama zawsze szybko mnie poprawiała:

- Ależ, Adrian, mój drogi - mówiła - na wódce świat się nie kończy.

Dla mamy ważne było po prostu to, abym miał pewną pracę i godziwą płacę, która pozwoli mi później utrzymać rodzinę. Ogólnie mówiąc - moi rodzice są dość tradycyjni. Robotnik i pracowniczka służby zdrowia. Oboje katolicy.

Gdy w wieku piętnastu lat tak naprawdę zrozumiałem, że nie jestem jak większość innych chłopców w klasie, nie było mi łatwo im o tym powiedzieć.

[10] Partia Postępu (Fremskrittspartiet) - narodowo-konserwatywna partia o profilu populistycznym. Jednym z jej postulatów jest liberalizacja norweskiej polityki alkoholowej.

Latem między pierwszą a drugą klasą liceum zdecydowałem się porozmawiać na ten temat z rodzicami. Zawsze byłem w bliskich relacjach z matką. Mogliśmy rozmawiać o wszystkim. Jednak wiadomość, że jej syn jest gejem, spadła na nią jak grom z jasnego nieba. W wolnym czasie miałem typowo chłopięce zainteresowania. Kiedy ojciec jeździł na polowania, zawsze mu towarzyszyłem i zdałem egzamin łowiecki. Podobnie jak moi przyjaciele, zrobiłem prawo jazdy na motocykl i ponadprzeciętnie interesowałem się motoryzacją oraz techniką.

Po burzliwym wieczorze jeszcze tego samego dnia wyprowadziłem się z domu. Zerwałem wszelki kontakt z mamą, a po jakimś czasie rzuciłem też szkołę. Nie zrobiłem tego świadomie, ale przerwanie edukacji w wieku szesnastu lat było chyba najgorszą karą dla moich rodziców. Przez ponad dwa lata poświęcałem się wyłącznie pracy i imprezom. I chociaż zyskałem w tym okresie wielu dobrych przyjaciół, trafiłem do środowiska, gdzie takie pojęcia jak lojalność czy wspólnota nie cieszą się poważaniem. Coś stało się z moją wiarą w ludzi wokół mnie. Przez pewien czas uważałem, że nie potrafię nawiązać kontaktu z innymi, że powinienem zostać weterynarzem, bo zwierzęta nie kłamią tak

jak my. Czułem się oszukany i nierozumiany zarówno przez rodzinę, jak i przyjaciół. Jednocześnie byłem też strasznie uparty i krótkowzroczny. Tak to już pewnie bywa, gdy jest się nastolatkiem.

Nie wiem dokładnie, kiedy to nastąpiło, ale po pewnym czasie znów zacząłem rozmawiać z mamą. Jesienią 2010, dwa i pół roku po rzuceniu liceum, zdecydowałem się wrócić do szkolnej ławy. Przez te lata, gdy mnie nie było, w szkolnictwie zaszły spore zmiany. W wyniku reformy edukacji zmieniły system oraz sposób nauczania.

Niedługo po rozpoczęciu roku zostałem wciągnięty do szkolnej polityki. Zaczęło się od tego, że klasa wybrała mnie na swojego przedstawiciela. Ponieważ byłem od nich sporo starszy, darzono mnie dodatkowym szacunkiem. Tej zimy wygrałem wybory na przewodniczącego rady uczniowskiej. W tym samym semestrze wziąłem udział w posiedzeniu krajowego parlamentu uczniów jako deputowany z mojej szkoły. Wtedy doznałem przebudzenia. Kilkuset młodych ludzi zebranych w Grieghallen w Bergen. Wygłaszali żarliwe przemówienia i podejmowali decyzje, które miały realne konsekwencje w codziennym życiu ich samych oraz innych. Poczułem, jakbym przez dwa

i pół roku żył w próżni. Nie wiedziałem, że wokół jest tyle zaangażowanych osób, zwłaszcza wśród tych ledwo opierzonych.

Koledzy z parlamentu uczniowskiego zainspirowali mnie do kontynuowania pracy na rzecz spraw uczniów w Skien, a po jakimś czasie wybrano mnie na przewodniczącego Organizacji Uczniowskiej w Telemarku. Wcześniej skontaktował się ze mną lokalny oddział Krajowego Związku Osób Homoseksualnych. Związek udzielał się mocno w szkołach, więc kiedy dowiedziano się tam, że zostałem wybrany na przewodniczącego rady uczniowskiej, nie musiałem długo czekać na ich reakcję. W związku przedstawiono mnie Elisabeth. Pełniła wtedy funkcję sekretarza okręgowego AUF-u w Telemarku. Nie była lesbijką, ale aktywnie wspierała ruch homoseksualistów. Na pierwszym posiedzeniu zarządu, w jakim wziąłem udział, miała na sobie żółtą koszulkę, na której krzyżowały się z sobą słowa „homo" i „hetero". Powiedziała, że dostała ją, gdy pracowała w grupie roboczej na wyspie Utøya.

- To takie otwarte środowisko? - zapytałem.

Zaintrygowała mnie myśl, że największa organizacja polityczna w Norwegii może być tak tolerancyjna w delikatnej kwestii.

- W AUF-ie jesteś homo, dopóki trzykrotnie nie udowodni ci się, że tak nie jest - odpowiedziała.

To stwierdzenie mówi pewnie najwięcej o poczuciu humoru Elisabeth, jednak było w nim ziarnko prawdy. W AUF-ie jest wielu homoseksualistów. Organizacja zdecydowanie wspierała ich ruch, lecz również wyraźnie opowiadała się za bardziej ogólnymi kwestiami związanymi z równością i sprawiedliwością wobec wszystkich członków naszego społeczeństwa. To w równie dużym stopniu przemówiło do mnie jako do syna polskiego robotnika i sprawiło, że wkrótce zapisałem się tak do Partii Pracy, jak i AUF-u, a później zgodziłem się, kiedy Elisabeth wiosną poleciła mnie jako swojego następcę na stanowisko sekretarza okręgowego.

Wcześniej rozczarowali mnie ludzie, którzy prawie niczym się nie przejmowali. Dołączywszy do AUF-u, miałem wrażenie, jakby wszyscy wokół byli w coś zaangażowani, co powoli wpłynęło również na mnie. Czułem, jakbym mógł odzyskać wiarę w ludzkie dobro, w wartość wspólnoty.

To dlatego rozpoczęcie obozu na Utøyi było tak wyjątkowe. To dlatego już chciałem tam wrócić.

Kiedy w nocy ze środy na czwartek przekroczyłem próg domu, wybiła godzina czwarta. Mama była w odwiedzinach u rodziny w Polsce, więc dom stał ciemny i cichy. W uszach nadal dzwoniło mi od muzyki w barze. Tej nocy ustanowiliśmy nowy rekord wysokości napiwków. Był to jeden z tych tętniących życiem letnich wieczorów w Skien, gdy wszyscy znajomi są na mieście. Kiedy na parkiecie roi się od ludzi, a zamówienia na truskawkowe daiquiri i mojito ciągną się bez końca.

Pakując się poprzednim razem, zakładałem, że będziemy mieć pięć dni beznadziejnej pogody. Jak dotąd cały czas świeciło słońce. Prędko wziąłem z sobą dodatkowe szorty i kąpielówki, włączyłem alarm i zamknąłem drzwi. Kiedy wsiadałem do auta, na dworze nadal było ciemno, lecz nad wzgórzami niebo pojaśniało. Pierwszy poranny rejs MS „Thorbjorna" przypadał o ósmej. Oznaczało to, że mam cztery godziny, a wiedziałem, iż droga zajmie mi dwie i pół. Pochłonąłem więc napój energetyczny w nadziei, że nie zasnę za kółkiem.

Samotne prowadzenie samochodu to jedna z najlepszych rzeczy na świecie. Zyskuje się wtedy idealny pretekst, by pobyć samemu z własnymi myślami,

a gdyby samotność doskwierała zbyt mocno, zawsze można do kogoś zadzwonić. Z tej przejażdżki pamiętam niemal każdy kilometr. Droga była prawie pusta. Słońce rzucało pochyłe promienie przez czubki drzew. Na polach stały sarny, wyciągając szyje, gdy przejeżdżałem obok. Miałem na nosie czerwone ray-bany, a radio ustawiłem tak głośno, jak tylko się dało. Auto śmierdziało jak po imprezie maturzystów. Po całonocnym mieszaniu drinków moje ubrania przesiąkły wódką, sokiem truskawkowym i liśćmi mięty. Zapach był tak intensywny i obezwładniający, że co jakiś czas musiałem otwierać okno. Głos miałem zachrypnięty od krzyczenia zza baru, lecz kiedy z głośników popłynęły dźwięki Hellbillies i wokalisty Aslaga Haugena, bujałem się, śpiewając na całe gardło:

- *Jak dziwnie czasami może wyjść. Mogę razem z tobą iść.*

Przy jeziorze Borsesjo z naprzeciwka wyjechała ciężarówka. Gdy się mijaliśmy, przez chwilę napotkałem spojrzenie kierowcy. Wydawał się zdumiony. Pewnie miał powód, bo był moim kumplem, który prowadził własną firmę logistyczną w Skien i dzień wcześniej próbował się ze mną skontaktować, ale

ja zapomniałem oddzwonić. Dwie sekundy później rozległ się dzwonek telefonu.

- Dokąd jedziesz? - zapytał.

- Na Utøyę - odparłem. - A ty?

- Byłem w Oslo po chleb - wyjaśnił. - Właśnie, uważaj na zwierzaka u podnóża góry.

Ledwie zdążył skończyć zdanie, kiedy ujrzałem na jezdni jakiś kształt i ostro zahamowałem. Koła zabuksowały na suchym asfalcie, samochód zatrzymał się około metra od przeszkody. Zwierzę leżało nieruchomo, zwrócone do mnie szaro nakrapianym grzbietem. Nie żyło? Co powinienem z nim zrobić? Nie mogło przecież tak tu zostać.

Z bliska widać było wybałuszone oczy i rozwarty pysk. Zwierzę leżało na boku z wyciągniętymi łapami jak drzemiący pies. To był borsuk. Chwyciłem go za tylne łapy przez kawałek papieru polerskiego, który znalazłem w bagażniku, po czym ostrożnie przeniosłem na pobocze. Gdy go puściłem, bezwładne ciało wolno przekręciło się na grzbiet i zsunęło do rowu.

Nad łąkami unosiła się gęsta mgła, którą światło poranka barwiło na żółto. Może powinienem był się przespać w domu, ale za bardzo napaliłem się na poznawanie wszystkich osób, które spotkałem

pierwszego dnia na wyspie. Szkoda mi było każdej straconej godziny.

Gdy dojechałem, MS „Thorbjorn" stał już zacumowany przy przystani promowej. Po wielu długich przerwach na kawę i papierosa, które zaliczyłem po drodze, nie musiałem czekać aż tyle, jak się początkowo obawiałem. Zaparkowałem samochód na wyżej położonym z dwóch parkingów na nabrzeżu, po czym szybko wziąłem swoje rzeczy i poszedłem w stronę łodzi. Prom stał tak, że można było pomyśleć, iż wpłynął w głąb lądu. Jego otwarta furta dziobowa przypominała wyrzuconego na brzeg wieloryba.

W przeszłości łódź była barką desantową wchodzącą w skład szwedzkiej artylerii nadbrzeżnej. Zanim ją przebudowano, używano jej do przewożenia na ląd uzbrojonych oddziałów wojska. Kuloodporna furta dziobowa szybko otwierała się podczas podchodzenia do plaży, aby żołnierze mogli prędko wydostać się na zewnątrz. Gdy AUF kupiła jednostkę w 1997 roku i nazwało ją imieniem byłego premiera z ramienia Partii Pracy, Thorbjorna Jaglanda, mostek powiększono i wyposażono w miejsca siedzące, dzięki czemu łódź uzyskała zezwolenie na transport do pięćdziesię-

ciu osób. Często przewozi również samochody - naraz może pomieścić jeden pojazd, większe partie żywności i innych dostaw potrzebnych na wyspie. Przed każdą przeprawą i po niej członkowie załogi intensywnie pracują na pokładzie: albo wyrównują łopatami krawędź żwiru, w który furta dziobowa wgryza się za każdym razem, gdy łódź dobija do brzegu, albo pomagają pasażerom, wskazując miejsca osobom podróżującym po raz pierwszy, albo też - wymachując rękami - instruują kierowców wjeżdżających na prom.

Pośrodku tego zamieszania ostoją spokoju pozostawał Jon, partner Moniki. Kiedy majtkowie biegali po pokładzie, on zawsze stał bez ruchu z kubkiem kawy w dłoni, wyglądając zza wielkich okien mostka. Nigdy nie dał po sobie poznać, że jest zestresowany czy wyprowadzony z równowagi. Każdy ruch wykonywał rutynowo i bez wysiłku. I chociaż jego profesjonalizm być może nie pozwalał mu naprawdę poznać wszystkich obozowiczów, którzy cały dzień przewijali się przez pokład, ja polubiłem go od razu.

Po raz pierwszy spotkałem go podczas szkolenia zorganizowanego tydzień przed obozem. Spóźniłem się na prom, więc zadzwoniłem do niego z samo-

chodu, aby dowiedzieć się, czy może na mnie poczekać.

- Będę za dziesięć minut! - powiedziałem.
- Gdzie jesteś? - zapytał.
- Właśnie wyjeżdżam z Sandyika.
- Aha... W takim razie będziesz tu za dwadzieścia minut. Ale w porządku, poczekam na ciebie.

Wydawało się, jakby Jon zawsze miał w zanadrzu przyjazne spojrzenie czy krótki, lecz celny komentarz, a płynąc MS „Thorbjornem" wczesnym rankiem, można było znaleźć miejsce u niego na mostku.

- Jak tam praca? - zapytał, rzucając krótkie spojrzenie na moją koszulę.

Zdziwiłem się, że mnie pamięta - dużo bardziej, niż że pamięta, gdzie byłem.

- Dobrze - odparłem, po czym usiadłem na ławie.

Jon przekręcił kluczyk i uruchomił MS „Thorbjorna". Po chwili wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Aby łódź zsunęła się z piasku, trzeba na początku dodać trochę więcej gazu. To odbicie jest chyba jedynym wysiłkiem, jaki MS „Thorbjorn" wykonuje podczas przeprawy. Przez pozostałą część krótkiej drogi na drugi brzeg silnik pracuje w spokojnym, spacerowym tempie. W tym czasie pasażerom, a w każdym razie

mnie, coraz bardziej przyspiesza tętno - od chwili odbicia od brzegu przez moment, gdy prom mija połowę trasy, gdzie wiatr często zawiewa świeżo od otwartych wód fiordu Tyri, aż do sekundy, kiedy łódź zbliża się do wyspy i otwiera się furta dziobowa. Stojąc na pokładzie, można zobaczyć powoli wyłaniającą się wyspę. Najpierw wierzchołki drzew nad stołówką, później stodołę i spichlerz, a wreszcie główny budynek i schody prowadzące na nabrzeże. Kiedy MS „Thorbjorn" wbija furtę dziobową w żwir i łódź zatrzymuje się, przez stal przebiega lekki wstrząs. Gdy zszedłem na ląd, większość osób na wyspie spała, ale w okolicach pojawiły się jakieś poranne ptaszki. Pierwszego spotkałem Kahlida, który schodził właśnie do głównego budynku. Nazywał się szejkiem wyspy Utøya i był jednym z najstarszych i najbardziej doświadczonych uczestników tegorocznego obozu. Prędko dał się poznać jako gadatliwy, zabawny facet. Chyba rozpoznał unoszący się za mną zapach, bo gdy go minąłem, odwrócił się i zawołał:

- Poproszę bacardi z colą!

Pod jednym z drzew przy stołówce stała ławka, gdzie chodziliśmy palić. Poza tym ktoś przysunął do niej stół sprzed jadalni, aby przyjemniej się tam

siedziało. Z ławki rozciągał się widok na teren przed kioskiem. Ruchliwy plac otoczony trzema namiotami handlowymi, gdzie zawsze coś się działo. Związkowcy z namiotu LO[u] rozdawali frisbee i broszury. W namiocie AUF-u obozowicze oglądali spodnie dresowe, bluzy z kapturem i koszulki z politycznymi motywami. Wreszcie w ostatnim namiocie dwie dziewczyny całymi dniami uwijały się w oparach gofrownic. W swoich słomkowych kapeluszach i fartuszkach w truskawki wyglądały niczym statystki ze starej reklamy dżemu nora.

Tego ranka plac był pusty. Wypaliwszy papierosa, poszedłem do swojego namiotu, aby się przebrać. Musiałem się położyć i kilka razy zaczerpnąć powietrza. Drzemka przed moim dyżurem o trzynastej wydawała się jedynym rozsądnym pomysłem. Mniej więcej w chwili, kiedy miałem zasnąć, zadzwonił telefon. Mari z działu informacji zastanawiała się, czy nie zejdę im pomóc.

Brzmiała, jakby wydarzyło się coś nadzwyczajnego. Kiedy spotkałem się z nią przy wzgórzu, właśnie przygotowywano scenę na przyjazd Jonasa Gahra [11] [11]

[11] LO (Landsorganisasjonen i Norge) - Norweska Federacja Związków Zawodowych.

Storego. Był pierwszą spośród sławnych osób, które miały w tym roku zjawić się na wyspie, więc poziom stresu w grupie wyraźnie się podniósł w stosunku do poprzedniego dnia. Żaden z gości, czy to premier, czy minister spraw zagranicznych, nie spodziewa się na wyspie specjalnego traktowania. Przyjeżdżają tam, aby odpocząć i podzielić się doświadczeniem z politykami przyszłych pokoleń. A jednak zapewnienie optymalnych warunków na przykład podczas wizyty ministra spraw zagranicznych szybko staje się kwestią prestiżu. W końcu to ważni politycy, na których większość uczestników obozu spoglądała z podziwem, a nawet czcią.

Również tego dnia zanosiło się na dobrą pogodę, zatem przynajmniej nie musieliśmy dodatkowo wzmacniać sceny. Wysłannik grupy roboczej pojechał do Honefoss po róże. Przykazano mu, aby kupił doniczkowe, więc przywiózł dwa krzewy różane. Kiedy zszedłem na scenę, Mari właśnie się im przyglądała. Wyglądały dość dziwnie. Na szczycie dwóch cienkich, półmetrowych łodyg widniały nieduże skupiska liści i kwiatów.

- Co z nimi zrobić? - zapytała Mari, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Może zakopiemy pod głównym budynkiem?

Chwilę walczyliśmy z tymi krzewami, przesuwaliśmy je tam i z powrotem po scenie, ale nigdzie nie pasowały. Wreszcie wstawiono je w dwa brązowe dzbany z terakoty i umieszczono przed głośnikami, więc znalazły się nieco w tle. Aby scena nie wyglądała tak pusto, kazano mi uciąć trochę gałęzi do ozdoby. Znalezienie na wyspie narzędzia nadającego się do cięcia jest nie lada wyzwaniem. Podczas meldowania się na stałym lądzie przeszukiwane są wszystkie torby i torebki. Wolontariusze szukają dwóch rzeczy. Po pierwsze alkoholu i narkotyków, co może wydać się dziwne na obozie, gdzie organizuje się *speed dating* i karaoke, jednak jest to konieczne, jeżeli rodzice mają wysyłać tam czternasto- i piętnastolatków. Drugą kategorię konfiskowanych przedmiotów stanowią noże i siekiery. Przechowuje się je w kartonowych pudłach, co wieczór przenoszonych na zaplecze głównego budynku. Takie rzeczy nie powinny być tu potrzebne.

Idąc za radą Mari, wśród skonfiskowanych przedmiotów znalazłem siekierę. Las wydawał się tutaj nietknięty. Ścinając gałęzie, czułbym się tak, jakbym się nad nim znęcał, ale w końcu natknąłem się na

niewielki konar, który jeszcze nie zdążył za bardzo wyrosnąć. Nikomu nie będzie go brakować.

Gdy ogołociłem drzewko z gałęzi, które wniesiono później na scenę, Mari i jakaś dziewczyna popatrzyły na rezultat.

- Atmosfera jak na Boże Narodzenie - stwierdziła Mari.

Zrozumiałem, co ma na myśli. Całość wyglądała zupełnie nie tak, jak powinna. Powoli zbliżał się czas wizyty ministra spraw zagranicznych, więc jedynym rozwiązaniem, jakie przychodziło nam do głowy, było wyłożenie jeszcze paru brzozowych gałązek i zostawienie wszystkiego w spokoju. Mieliśmy na głowie jeszcze inne zadania.

Wysłano mnie na piętro, gdzie miałem sprzątnąć podłogę i przygotować aulę. Obszedłem pomieszczenie z odkurzaczem, który wiekiem musiał dorównywać obozowi, potem umyłem podłogę mopem i wodą z płynem. Z pokoju obok dobiegał głos Moniki. Zapytałem ją, czy mogę w czymś pomóc, lecz dowiedziałem się jedynie, że mam się trzymać z dala od kuchni. Tam sama na ostatnią chwilę przyrządzała jedzenie. Nietrudno było pojąć, dlaczego się stresuje. Odpowiadała za to, aby wszyscy wywiązali się z obowiązków,

a wizyta Gahra Storego przebiegła tak sprawnie, jak to możliwe. Poza tym miała przygotować jedzenie na spotkanie i przyjąć ministra na nabrzeżu, podobnie jak wszystkich ważnych gości na wyspie.

Sekcja informacji należy do niewielu miejsc na wyspie, gdzie można spokojnie pracować lub surfować po Internecie, więc często widać tam grupkę obozowiczów, niekoniecznie związanych z dyżurującą grupą. Teraz wyrzuciliśmy wszystkich, którzy nie mieli nic do roboty w głównym budynku. Gdy minister spraw zagranicznych zjawi się w drzwiach, tylko my, pracujący tam, mieliśmy go przywitać.

Możliwe, że to przez skumulowane w nas napięcie i stres, przez ostrą wymianę słów i zamieszanie, jakie wywołaliśmy, chcąc właściwie zamontować słuchawkę prysznicową na zapleczu i znaleźć odpowiednie rodzaje ręczników, mieliśmy na końcu wrażenie, jakby miał nas odwiedzić sam król. Wtedy się zjawił, a na Utøyi był po prostu Jonasem. W chwili, gdy wszedł do sali, wpłynął na wszystkich odprężaj ąco. Ludzie rozluźnili się i mogli odetchnąć.

Tematem wizyty ministra spraw zagranicznych był Bliski Wschód. Po krótkim apelu miał dyskutować na temat konfliktu izraelsko-palestyńskiego

z doświadczoną korespondentką zagraniczną NRK[12], Sidsel Wold, oraz lokalną przedstawicielką Norweskiej Pomocy Humanitarnej w Gazie, Kirsten Belek --Olsen.

Prawa Palestyńczyków od dawna należały do najważniejszych dla AUF-u kwestii. W latach sześćdziesiątych Partia Pracy dość mocno wspierała Izrael. Po wojnie sześciodniowej w 1967 roku AUF wraz z kilkoma innymi lewicowymi młodzieżówkami wyszła na ulice Oslo, by wziąć udział w pierwszej propalestyńskiej demonstracji w Norwegii. Od tamtej pory partia matka i młodzieżówka dużo bardziej zbliżyły się do siebie na tym polu, jednak nadal brak jest między nimi zgody w kilku zasadniczych sprawach. AUF postrzega się jako istotną przeciwwagę dla bardziej umiarkowanej Partii Pracy. W związku z debatą na wyspie Utøya Eskil Pedersen nawoływał do ekonomicznego bojkotu Izraela, co Partia Pracy i minister spraw zagranicznych uznali za zbyt drastyczny krok.

Wcześniej tego dnia wysłałem wiadomość do wszystkich z Telemarku z przypomnieniem o przemówieniu

[12] NRK (Norsk Rikskringkasting) - norweskie radio i telewizja publiczna.

ministra spraw zagranicznych. Najwyraźniej wiele innych osób zrobiło tak samo, gdyż całe wzgórze przy scenie roiło się od ludzi. Ministrowie przyjeżdżający na Utøyę są traktowani z największym szacunkiem. Mimo to na obozie panują pewne rytuały, których musi przestrzegać każdy, kto odwiedza wyspę. Podobnie jak pozostali uczestnicy, goście - kiedy akurat nie przemawiają - siedzą na trawie pod sceną. Aby starczyło miejsca dla Jonasa i kierownictwa AUF-u, przed sceną wyłożyłem brezent, na którym mogli usiąść.

Sam nie czułem, że mam czas na spoczynek. Gdy Eskil wszedł na scenę, by przedstawić gości, przysłuchiwałem się, stojąc na ścieżce żwirowej nieopodal wzgórza. Nie ominął mnie apel ministra spraw zagranicznych, w którym mówił o konieczności zakończenia okupacji Zachodniego Brzegu i zaakceptowania Palestyny przez Izrael jako niezależnego państwa. Później musiałem wracać do punktu informacji, by obsługiwać biuro.

Okna w recepcji były otwarte. Ze swojego miejsca słyszałem sporą część tego, co mówiono, ale cały czas coś działo się na łączach lub musiałem zajmować się innymi sprawami, więc moje wrażenia były

dość fragmentaryczne. Po jakimś czasie zauważyłem, że ludzie zaczęli się rozchodzić, a niedługo później Jonas zjawił się w środku ze swoją świtą, po czym wszedł schodami na górę.

W sekcji informacji zdążyliśmy właśnie nieco odsapnąć, gdy pojawiło się dla nas nowe zaskakujące zadanie. Jonas zapowiedział wcześniej, że jak zwykle chce dołączyć do drużyny Oslo i Akershus podczas jednego z meczów, które miały się odbyć tego dnia, lecz okazało się, iż zapomniał butów i ochraniaczy. Pytał więc, czy nie spróbowalibyśmy załatwić dla niego odpowiedniego sprzętu. Przez głośnik zakomunikowaliśmy, że szukamy osoby, która mogłaby pożyczyć parę ochraniaczy i butów piłkarskich w rozmiarze 42. Nie zdradziliśmy, kto ich potrzebuje, ale ludzie musieli się chyba zorientować, gdyż w ciągu pół godziny otrzymaliśmy sporo obuwia. Rozmiary wahały się od 41 do 44, różny był też stopień zużycia korków. W końcu wybraliśmy parę białych butów numer 42, które później wyczyściliśmy z plam po trawie i resztek ziemi.

Ruch był zawsze ważnym elementem obozów letnich na wyspie Utøya, od gimnastyki zbiorowej w latach pięćdziesiątych po współczesne turnieje piłki

nożnej i siatkówki. Zajęcia sportowe stanowiły wytęsknioną przerwę między spokojnymi seminariami, jednak przede wszystkim meczom towarzyszył ogrom radości i zabawy. Po rozegraniu każdej rundy ogłasza się nowe mecze, które zapisuje się starannie na ogromnej tablicy zawieszonej na tyłach spichlerza i zapowiada się przez głośniki. Wtedy obozowicze z całej wyspy zbierają się, by sprawdzić wyniki i dowiedzieć się, kto będzie następnym przeciwnikiem ich drużyny. W ten sposób wyraźnie rośnie poczucie solidarności w reprezentacjach okręgów, z których każda wystawia swoją drużynę.

W Telemarku nie było dość zawodników, aby wystawić pełen skład, więc połączyliśmy się z Vestfold, tworząc drużynę Vestmark. Stosunkowo prędko odpadaliśmy z turnieju, ale przez resztę rozgrywek przyglądaliśmy się zmaganiom ze swojego stałego miejsca pod największą brzozą rosnącą przy dłuższym boku boiska. Tak samo było podczas meczu Jonasa.

Skończywszy grać, podziękował za przyjemny pobyt i pochwalił nas za pracę, jaką wykonaliśmy, przygotowując wizytę.

- Świetnie było tu wrócić - powiedział.

Później podał każdemu po kolei rękę.

Ja, który czasami czułem się jak outsider, odniosłem wrażenie, jakbym został przyjęty do dobrego towarzystwa. Jak gdyby seria uścisków dłoni i wszystko dokoła stanowiły rytuał inicjacyjny, przez który należało przejść, aby zostać wyświęconym na członka AUF-u. Poza tym wizyta dawała przedsmak tego, co miało nastąpić później. Pokazywała, jak będą wyglądać odwiedziny Gro nazajutrz i Jensa w sobotę.

Po przepracowanym poprzednim wieczorze, nocnym dojeździe do Oslo i po skończonym dyżurze na wyspie o siedemnastej byłem bardziej niż wykończony, ale nie mogłem iść spać. Elisabeth, moja poprzedniczka na stanowisku sekretarza okręgowego, cały tydzień opiekowała się moim psem i miała mnie z nim odwiedzić zaraz po mojej zmianie. Mikę jest towarzyskim i bardzo przywiązanym do mnie psem, więc ustaliliśmy, że byłoby miło, gdyby wpadli, abyśmy razem spędzili wieczór, a później Elisabeth zabrałaby Mike'a z powrotem do Skien.

Kiedy zszedłem z pokładu MS „Thorbjorna" na ląd, już tam na mnie czekał. Nie widzieliśmy się cztery dni, więc bardzo się ucieszył. Nie miał ogona, ale zad chodził mu radośnie na boki. Gdy Elisabeth spuściła go ze smyczy, skoczył w moją stronę, po

czym przewrócił się na grzbiet w oczekiwaniu na pieszczoty.

Przez pierwsze dni po wyspie chodził luzem mały terier. Gdybym wiedział, do kogo należy, poprosiłbym właściciela, aby go uwiązał, lecz za każdym razem, gdy się zjawiał, kręcił się samopas. Tak było również, kiedy zeszliśmy na ląd na wyspie. Ledwo doszliśmy do stodoły, a on już się do nas przyplątał. Szedł za nim może dziesięcioletni chłopiec, który musiał być jego właścicielem. Psy przywitały się z sobą, jak to mają w zwyczaju, i na początku wydawało się, że nie będzie żadnych problemów. Mikę trzykrotnie przewyższał teriera, a na ogół nie szuka zaczepki. Jednak gdy próbowaliśmy iść dalej, terier ruszył w ślad za nami. Nie chciał zostawić Mike'a w spokoju.

Wtedy mój pies zaatakował. To mogło skończyć się tylko w jeden sposób. Łeb pieska zniknął w paszczy Mikea. Konieczna była ostra interwencja. Chwyciłem zwierzęta za kark, uniosłem je i rozdzieliłem. Ludzie przy głównym budynku zatrzymali się, by popatrzeć na widowisko. Chłopiec stał jak wryty z rękoma po bokach. Wręczyłem mu teriera, prosząc, aby go zabrał. Kiedy odwróciliśmy się, by odejść, zobaczyłem, jak pies wyrywa się z obroży i znów pędzi w naszą

stronę. Tym razem chwyciłem go, zanim dobiegł do Mikea. Założyłem mu na powrót obrożę i w podziękowaniu zostałem ugryziony w kciuk. Ponownie odesłałem chłopca. Tym razem już nie wrócili.

Nie mogłem zrobić wiele więcej. Jednocześnie trochę martwiłem się możliwymi urazami tamtego psiaka. Mogłem porozmawiać z rodzicami chłopca, ale wiedziałem jedynie tyle, że pies przyszedł od strony domków letniskowych LO. Idąc na pole namiotowe, gdzie mieliśmy grillować z resztą delegacji Telemarku i Vestfoldu, wybraliśmy okrężną drogę, aby uniknąć kolejnego spotkania z terierem. Blisko szczytu wzgórza zobaczyłem, że jest przywiązany koło jednego z domków. Stał na baczność ze wzrokiem wbitym w Mikea.

Właściciel psa zgłosił się dopiero późnym wieczorem. Siedziałem z Elisabeth na trawie za głównym budynkiem, oglądając mecz siatkówki, gdy podszedł do nas strażnik Trond Berntsen. Miał przyjazne spojrzenie, w którym było jednak coś badawczego, jakby nie mógł całkiem pozbyć się dawnego urazu powstałego podczas pracy w policji. Zerknął na Mikea.

- To twój pies? - zapytał.

Aha, zaraz dostanę rachunek od weterynarza - pomyślałem.

- Tak, a to pana terier?

- Ma tylko lekkie zadrapania - powiedział, siadając w trawie obok nas. - I dobrze mu tak. Ten głupi kundel myśli, że może bić się ze wszystkimi. Potrzebny mu od czasu do czasu lekki łomot.

Przytoczył kilka innych sytuacji, gdy jego pies przecenił swoje możliwości. Raz nawet zaatakował rottweilera.

- Nigdy się nie nauczy - rzekł. - Pewnie wróci, jeśli znów go wypuszczę.

Powiedziałem, że Mikę mnie tylko odwiedza i wraca jeszcze tego samego wieczoru. Tak rozkręciła się rozmowa. Mówił, że w tym roku miał się przeprowadzać i nie wybierał się na ten obóz, ale na szczęście przełożył przeprowadzkę na następny tydzień. Ja wyjaśniłem, że to mój pierwszy raz, i zapytałem, czy w tym roku jest dużo więcej pracy niż wcześniej.

- Nie mieliśmy żadnych awantur. Żadnego alkoholu, narkotyków, bójek. We wcześniejszych latach pracowałem prawie całą dobę, a teraz mogę kończyć o czwartej. Dwadzieścia lat jestem strażnikiem na wyspie Utøya - powiedział i popatrzył na mnie. - Jak

tak dalej pójdzie, ten obóz będzie najlepszy w historii.

Nie mogliśmy już dłużej rozmawiać, bo musiałem wyjść na boisko wraz z pozostałymi reprezentantami Telemarku, żeby rozegrać mecz siatkówki przeciwko AUF Nordland.

Przegraliśmy.

ATAK

W piątek obudziłem się na ziemi. W nocy powietrze wolno uszło z materaca, aż wreszcie mogłem wyczuć każdą nierówność na trawie pode mną. Deszcz szeleścił rześko, uderzając w poszycie namiotu. Usiadłem, sprawdziłem swoje rzeczy. Sucho. Przynajmniej namiot był szczelny. Na końcu materaca leżała kolacja z poprzedniego wieczoru, niedojedzona porcja sałatki ozdobiona paroma niedopałkami. Tylko tyle zdołałem zrobić, nim zwyciężyło wyczerpanie po całej dobie w pracy. Gdy skończył się koncert Datarock na scenie plenerowej, większość osób przeniosła się do stołówki. W wielkiej sali organizowano karaoke. Z powodu duchoty, która często doskwiera w nocy poprzedzającej deszczowy dzień, ktoś pootwierał okna, więc w mroku rozbrzmiewały trochę marudne, lecz serdeczne wersje starych klasyków.

Jakiś chłopak śpiewał *Idyll* Postgirobygget. Dziewczęce trio wykonywało *Lewa livet* Age Aleksandersena. Ta niewielka, choć wytrwała grupka przez jakiś czas była jedynym, co dzieliło mnie od ożywczego snu. Około północy udało mi się wreszcie zasnąć.

Komórka leżąca na materacu obok wydała dźwięk. Svein Gustaf pełnił tego przedpołudnia dyżur na lądzie i zastanawiał się, co się dzieje.

- Gdzie jesteś? Jak tam Gro? - zapytał.
- Nie, nie, nie - wymamrotałem.

Było po trzynastej. Przemówienie Gro należało do najważniejszych wydarzeń tego obozu nie tylko dla dziewczyn, lecz dla nas wszystkich. A teraz się skończyło. Rozsunąłem zamek błyskawiczny i wystawiłem głowę, by spojrzeć na leśną drogę. Miałem wrażenie, jakbym obudził się na innej wyspie, w innej szerokości geograficznej. Wszystko wydawało się cięższe niż poprzedniego dnia, jakby cały fiord Tyri spowijała zasłona deszczu i mgły. Opuszczenie suchego, przytulnego namiotu nie było szczególnie zachęcającą perspektywą. Ścieżką szli obozowicze, którzy właśnie wysłuchali mowy Gro. Jedna dziewczyna idąca spiesznie od kiosku w dół wzgórza miała na sobie jedynie podkoszulek, krótkie spodenki

i wielkie kalosze z napisem „Partia Pracy". Wprost emanowała entuzjazmem. Co za energia w każdym kroku. Gdyby to od niej zależało, pokazałaby całemu polu namiotowemu, że na Utøyi nie przejmujemy się deszczem.

W drodze spod prysznica prawie wpadłem na grupkę dziennikarzy. Pośrodku ich pochodu raźno kroczyła postać w jaskrawoczerwonej kurtce przeciwdeszczowej i zielonych gumiakach. Obok niej szedł Eskil, dzierżąc czarny parasol. Dziwnie było widzieć, jak ten zdecydowany, silny przywódca AUF-u za kimś drepcze, jak kogoś słucha. Jednak nie byle komu trzymał parasol. Postacią tą była matka narodu, Gro, pierwsza i jak dotąd jedyna kobieta na stanowisku premiera Norwegii, zmierzająca właśnie do obozu Oslo i Akershus. Fotografowie otaczali ją, robiąc zdjęcia. Dziennikarze szli, gryzmoląc coś w swych notesikach. Więc jeszcze tu była. A przed wyjazdem musiała wymeldować się w punkcie informacji. Panował tam spory zamęt. Kolejka do okienka ciągnęła się aż do wejścia. Na stołach i krzesłach leżały teczki, papiery, resztki jedzenia i papierowe kubki. Na zapleczu krótkofalówki piszczały w ładowarkach, stale dzwonił też jakiś telefon. Gro miała zjeść lunch na

piętrze, a za przygotowanie wszystkiego odpowiadała sekcja informacyjna. Ledwie zdążyłem zapytać, czy mogę jakoś pomóc, gdy była premier zjawiła się w drzwiach, zamieniła parę słów, po czym weszła na górę wraz ze swoją świtą.

W punkcie informacyjnym zawsze mieliśmy dwie krótkofalówki, oprócz tych, które znajdowały się na stałym lądzie. Wziąłem jedną na wypadek, gdyby coś się działo. Po chwili otrzymaliśmy z lądu wiadomość o nieprawidłowo zaparkowanym samochodzie. Na ogół przed wejściem na pokład MS „Thorbjorna" należało oddać kluczyki, aby ludzie pracujący na lądzie mogli w razie potrzeby przestawić auto. Jednak ta osoba nie uczyniła tego. Trzeba było dowiedzieć się, kto to. Poszedłem na zaplecze i wywołałem właściciela przez głośnik. Kiedy wróciłem, zjawiła się Mari. W zamieszaniu powstałym wokół Gro w jakiś sposób zdołała skręcić kostkę, która teraz zrobiła się dwa razy większa od drugiej. Mimo to Mari nie potrafiła usiedzieć na miejscu. Po krótkich namowach zgodziła się usiąść na chwilę i poczekać, aż opuchlizna nieco zejdzie, podczas gdy pozostali mogli zająć się sprawami, których nie udało się załatwić przed przyjazdem Gro. Z powodu deszczu musieliśmy mię-

dzy innymi przełożyć wszystkie zaplanowane na ten dzień mecze piłkarskie i siatkarskie.

Około piętnastej Gro wróciła z lunchu. Z początku próbowaliśmy pracować jak gdyby nigdy nic, ale w końcu wszyscy przerwali swe zajęcia i otoczyli ją niczym rekruci. Szybko rozejrzała się po pomieszczeniu i podziękowała nam za miły pobyt. To samo uczynili towarzyszący jej dziennikarze. Wtedy wszyscy wyszli na czekający na nich prom.

Po wyjeździe Gro nadal mieliśmy parę rzeczy do zrobienia, jednak teraz praca szła w innym tempie. Wszystkim członkom delegacji Telemarku wysłałem wiadomość o przełożeniu meczów. Po jakimś czasie zaczęliśmy sprzątać po spotkaniu, które odbyło się na piętrze. Na stole został talerz z zimnymi przekąskami, które znieśliśmy na dół i rozdzieliliśmy między siebie.

Siedzieliśmy, gadając o wszystkim: od interesujących nas kwestii politycznych po typowe dla sezonu ogórkowego wiadomości z brukowców. W tym tygodniu na pierwszych stronach norweskich gazet pisano głównie o seksskandalu Dominiąuea Strauss-Kahna[13],

[13] Dominiąue Strauss-Kahn - francuski polityk, były minister finansów Francji.

udziale Thora Hushovda[14] w Tour de France oraz tanich biletach lotniczych do ciepłych krajów.

Przez ostatnie dni pewien młody blondyn zaglądał do nas co jakieś dwie godziny, żeby zapytać, czy ktoś znalazł jego kurtkę. Około piętnastej trzydzieści pojawił się pierwszy raz tego dnia. Mniej więcej w tym samym czasie do pokoju od drugiej strony wpadła Monica.

- W Oslo był wybuch - powiedziała.

Wszyscy zamilkli i odwrócili się w jej stronę. Otrzymała telefon od kogoś, kto przeczytał o tym na Twitterze. W normalnej sytuacji wzięłaby kierownictwo na bok, aby omówić ważne sprawy na osobności. Jednak teraz stała tylko, trzymając się framugi. Zerknąłem na Eskila, który siedział ze swoim doradcą. Jego twarz zdradzała zwątpienie i brak zrozumienia. To na pewno wybuch gazu - mówiłem sobie w duchu. Nikt przecież nie zdetonowałby bomby w Oslo, w małej Norwegii, to nie może być prawda. Jednak z tyłu głowy kłębiły się myśli o udziale Norwegii w wojnie w Afganistanie, o bombowcach, które wysłaliśmy do Libii, i że zdobyliśmy się na to.

[14] Thor Hushovd - norweski kolarz *szosowy,* **mistrz świata z 2010 roku.**

Gdy minął pierwszy szok, zajęliśmy się pozyskiwaniem najświeższych informacji. Ci, którzy nie mieli nic do roboty w biurze, zostali wyrzuceni, a wszystkie drzwi zamknięto na klucz. Rozpoczęliśmy gorączkową, spontaniczną akcję zbierania danych. Na stołach pojawiły się laptopy, iPady i smartfony. Monica pobiegła na piętro po radio. Gdy wróciła, próbowała ustawić kanał informacyjny, lecz z głośników płynęła jedynie muzyka. Minęło może pięć minut, gdy pojawiła się pierwsza wiadomość o zdarzeniu w stolicy. Nie jest to dużo czasu, jednak wtedy zdawało się wiecznością. Jednocześnie dziennik „Aftenposten" doniósł o czymś przypominającym eksplozję w Oslo. Pisano o odłamkach szkła na ulicach, wyjących alarmach i dymie unoszącym się z budynku rządu.

„Sprawa w toku" - brzmiał napis na stronie.

Nic więcej.

Żadnych zdjęć, które powiedziałyby nam coś o tym, co się stało. Ktoś zaczął płakać. Wiele osób siedzących w pokoju miało przyjaciół i członków rodziny, którzy pracowali w centrum. W biurach zaledwie kilka metrów od miejsca wybuchu. Ja sam nie znałem nikogo, kto był wtedy w śródmieściu, ale wie-

działem, że ludzie z grupy roboczej jechali do Oslo wydrukować dokumenty w biurze partii.

Kiedy na stronie gazety internetowej pojawiło się pierwsze zdjęcie, zobaczyliśmy, że w wyniku eksplozji wyleciały okna w całym bloku.

- To tylko szkło. Żaden budynek nie jest uszkodzony - odezwałem się.

Może ktoś sądził, że wiem, o czym mówię, ale powiedziałem to głównie po to, żeby uspokoić samego siebie.

- Pewnie zapalił się jakiś pojemnik z propanem albo to wyciek z jakiejś rury.

Mniej więcej wtedy dostałem esemes od Sveina Gustafa z lądu. „Eksplozja w budynku VG[15] i dzielnicy rządowej. Wszystkie okna wybite, ludzie krwawią" - napisał. W tamtym momencie chcieliśmy, aby wśród obozowiczów nie wybuchła panika, aby jak najwięcej osób dowiedziało się o zdarzeniu od nas we właściwy sposób. „Ani słowa o tym. Mam właśnie zebranie w tej sprawie" - odpisałem. Zdecydowaliśmy się skontaktować z ekipą z Norweskiej Pomocy Humanitarnej, dowiedzieć się, co nam doradzą. Mieli kogoś przysłać. Niedługo po wysłaniu

[15] VG („Yerdens Gang") - czołowy norweski tabloid.

odpowiedzi do Sveina Gustafa przyszedł od niego nowy esemes.

„Piszą o tym wszędzie na necie. Dostałem wiadomość."

Jeśli mieliśmy opanować tę informację, zanim dojdzie do wybuchu paniki, nie było czasu do stracenia. Na ogół grupa robocza dzieliła się na trzy zmiany. Teraz do punktu informacji wezwaliśmy wszystkich. Członkowie poszczególnych grup uwijali się jak w ukropie, opracowując plan działania. Monica, Eskil i reszta kierownictwa AUF-u zasugerowali powszechne zebranie. Przewodniczący Norweskiej Pomocy Humanitarnej zaoferował, że zorganizuje centrum kryzysowe, gdzie obozowicze mogliby skorzystać z telefonu czy porozmawiać. Przez głośnik poinformowano, aby o godzinie szesnastej trzydzieści wszyscy zebrali się w wielkiej sali. Mniej więcej w tym samym czasie dostałem wiadomość od Sveina, mojego przyjaciela z Skien, który zastanawiał się, czy nie przyjechać na przemówienie Jensa w sobotę. Chciał powiedzieć o tym, co wydarzyło się w Oslo.

„Właśnie zajmujemy się tym na obozie. Jens ma się dobrze" - odpisałem.

„Nie jedź do centrum Oslo. Może być więcej bomb” - odpowiedział.

„To może być gaz, ale nie jestem pewien” - napisałem.

Nadal trzymałem się tej wersji. Co innego mogło to być? Kiedy Svein znów odpowiedział, zdążyłem wziąć z sobą krótkofalówkę i opuścić punkt informacji, aby zwołać ludzi na zebranie. Nic nie wskazywało wtedy na to, aby ktokolwiek poza centrum Oslo musiał mieć się na baczności. Mimo to napisał:

„Adrian, uważaj na siebie”.

Była szesnasta.

Każdy z nas w swoisty sposób reaguje na traumatyczne przeżycia. Niektórzy milkną i zamykają się w sobie. Niektórzy zaczynają płakać. Inni ciągle się śmieją i są niepoważni. Jeszcze inni, i do tej kategorii należę ja, stają się niespokojni, chętni do działania, wręcz hiperaktywni. Zamiast przejąć się rozmiarem tragedii, znajdują zajęcia, które pozwolą im zachować dystans wobec rzeczywistości.

Moje zadanie polegało na zadbaniu o to, aby jak najwięcej obozowiczów stawiło się na zebranie, więc

na tym właśnie skupiłem całą swoją uwagę. Nadaliśmy dość ogłoszeń przez głośniki, ale nie mieliśmy gwarancji, że wszyscy je usłyszeli, więc poszedłem na pole namiotowe, by osobiście poinformować ludzi. W pobliżu stołówki zaczął już gęstnieć tłum, tłocząc się przy wejściu do głównej sali. Jeśli wszyscy mieliby wejść naraz, powstałaby kolejka i stracilibyśmy dużo cennego czasu. Zawołałem, żeby zaczęli już wchodzić.

Mieliśmy właściwie oddzielną grupę odpowiedzialną za prowadzenie obozowiczów na zebrania, ale na polu namiotowym nadal stało wiele osób, które wyglądały, jakby nie dotarła do nich informacja o naradzie, a ponieważ wszyscy członkowie grupy roboczej byli zajęci czymś innym, kontynuowałem swój obchód. Przy strefie Telemarku kilka osób zastanawiało się, co się dzieje. Wyjaśniłem, że wszystkiego dowiedzą się na spotkaniu. Tę samą wiadomość uzyskali inni napotkani przeze mnie obozowicze: uczestnicy seminarium, którzy schronili się przed deszczem pod dachem sceny plenerowej, para Miriam i Aleksander z Telemarku, którzy rozłożyli swój namiot obok mojego.

- Musimy iść? - zapytali.
- Coś się stało - powiedziałem.

Zapadła cisza.

- Mówisz o bombie?

Plotka o wydarzeniu rozeszła się po wyspie. Wielu już dawno otrzymało wiadomości od przyjaciół i rodziny albo przeczytało o tym w Internecie. Łudziliśmy się, że uda nam się zachować w tajemnicy informację o zajściu, lecz szybko okazało się to niemożliwe. Teraz chodziło przede wszystkim o zapewnienie bezpieczeństwa i zdobycie jak najdokładniejszych danych o tym, co się stało i jak to wydarzenie wpłynie na dalszy przebieg obozu.

W drodze przez obozowisko Troms spotkałem grupkę zebraną wokół iPada. Ktoś znalazł filmik z Oslo umieszczony w sieci przez „ Aftenposten". Na zdjęciach miasto było podobne do strefy działań wojennych. Ulice zasypane były dymiącymi kawałkami wraków i powykręcanego metalu. Bezustannie wyły alarmy samochodowe. Poprosiłem, aby weszli do środka.

Była prawie szesnasta trzydzieści. W korytarzu przed główną salą unosił się intensywny zapach. Ci, którym zdarzyło się spóźnić na wykład w stołówce, znali to zjawisko, lecz tego dnia woń była wyjątkowo nieprzyjemna. Przez ostatnią dobę w powietrzu dominowały wilgoć i zgnilizna. Wąskie przejście wypełniły wyziewy z kilkuset par mokrych kaloszy i butów.

Szyby w sali zaparowały. Było wilgotno i duszno. Eskil zaczął już informować o sytuacji.

- Jak na pewno wiecie, w dzielnicy rządowej doszło do wybuchu - powiedział.

Szukał odpowiednich słów.

- Nie wiemy na razie nic więcej, ale Jens jest bezpieczny. Będziemy was na bieżąco informować o rozwoju wypadków.

Z trudem dało się w nim odnaleźć ślad pewnego siebie, radosnego przewodniczącego AUF-u, który dwa dni wcześniej inaugurował obóz. Bez problemu można było zrozumieć, że przyjął wiadomość dużo gorzej niż większość osób. Bomba wybuchła tuż przy jego biurze przy Youngstorget. Dotknęła serca środowiska politycznego, którego był aktywnym członkiem. W każdym razie nie były to wyreżyserowane chwile. Nie musiał używać wielkich słów, a jedynie zadbać, by uczestnicy czuli, że ktoś się o nich troszczy.

- Tutaj jest nam dobrze - rzekł. - To najbezpieczniejsze miejsce, w jakim możemy teraz być.

Takie uczucie wypełniało mnie, gdy zszedł z mównicy i oddał głos Monice. Jens najprawdopodobniej nie przyjedzie w sobotę. Tymczasowo odwołano dyskotekę, która miała się odbyć wieczorem.

Poza tym obóz działał jak dotąd. Znajdowaliśmy się na wyspie, daleko od Oslo. W tamtym momencie Utøya wydawała się najbardziej chronionym miejscem w kraju. Monica powiedziała, że wszystkie rejsy MS „Thorbjorna" zostaną zawieszone, ale prom będzie kursować w razie potrzeby, aby każdy mógł opuścić wyspę, gdy będzie chciał. Norweska Pomoc Humanitarna utworzyła centrum kryzysowe, do którego można się zwrócić, jeśli chce się z kimś porozmawiać.

Drgnąłem na wspomnienie Pomocy Humanitarnej. Dwa dni wcześniej do ich namiotu stojącego pod świetlicą skierowałem jedną dziewczynę. Bolał ją brzuch i podejrzewała u siebie grypę żołądkową. Ostatecznie namiot Pomocy Humanitarnej przekształcono w izolatkę, a nam przykazano, by nie zbierać zbyt wielu osób na małych powierzchniach. Teraz cała wyspa stłoczyła się w głównej sali. Niemal widać było rozprzestrzeniające się po pomieszczeniu zarazki.

Była szesnasta czterdzieści pięć.

Zebranie nie trwało długo. Przekazano najważniejsze informacje, więc życie obozowe mogło dalej toczyć się swoim rytmem. Nim się rozeszliśmy,

delegacje odbyły własne narady. Grupa z Telemarku spotkała się pod sceną plenerową. Delegacja wyglądała tak, jakby wydarzenia za bardzo na nią nie wpłynęły. Niektórzy byli cisi i zamyśleni, jednak jak to na zgromadzeniach młodzieży bywa, znalazł się ktoś, kto chciał obrócić wszystko w żart. Spotkanie prowadził Tim, przewodniczący AUF Telemark, ale zapomniał o paru ważnych szczegółach. Ponieważ tego dnia pracowałem w sekcji informacyjnej i wiedziałem, co należy zakomunikować obozowiczom, sam zabrałem głos, by uzupełnić jego wypowiedź.

- Dobrze byłoby zadzwonić teraz do rodziców - zaleciłem - i powiedzieć, że jesteście cali i zdrowi. Jeśli chcecie z kimś porozmawiać, możecie udać się do punktu informacji albo do centrum kryzysowego Pomocy Humanitarnej.

W połowie zebrania otrzymałem przez krótkofalówkę pytanie z informacji, na które mogłem odpowiedzieć. Sekcja planowała wtedy pokazać na dużym ekranie transmisję z konferencji prasowej policji, w związku z czym dużo się działo. Omawiano między innymi możliwość zablokowania dostępu do sieci bezprzewodowej na wyspie, aby całą przepustowość wykorzystać do odbioru audycji ze stron interneto-

wych NRK. Odszedłem kilka metrów na bok i zgłosiłem się przez radio. Niedługo później otrzymałem wiadomość od osoby z informacji, która zauważyła, że na pytanie powinien raczej odpowiedzieć ktoś znajdujący się w głównym budynku. Odebrałem to jako aluzję, żeby wrócić do pracy, że nie mogę biegać po wyspie podczas dyżuru, więc opuściłem nasze zebranie. W drodze do punktu informacji sprawdziłem przez Internet w telefonie portale informacyjne. Pisano o dwóch ofiarach śmiertelnych w Oslo.

Przez radio usłyszałem zgłoszenie z lądu o policjancie, który czeka na brzegu na prom.

Była siedemnasta.

Nastrój w recepcji zmienił się: początkowy szok przeszedł w smutek i rozpacz. Rozmiary eksplozji w dzielnicy rządowej rosły wraz z każdą nową relacją o zdarzeniu. Gdy do biura dotarła wieść o ofiarach, ludzie zaczęli płakać. Mari należała do tych, którzy przyjęli wiadomość najgorzej. Radosna, energiczna Mari. Smutno było patrzeć na nią, gdy znajdowała się w takim stanie. Kiedy wreszcie wzięła się w garść, podeszła do mnie, by zapytać, czy nie mógłbym kupić

napoju i chipsów, które wystawilibyśmy, gdyby ktoś chciał przyjść porozmawiać.

- Oczywiście - odparłem.

Chciała dać mi swoją kartę, ale jej nie znalazła.

- W porządku - powiedziałem.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- Dziękuję bardzo, Adrian.

Zadzwonienie do domu było pierwszą czynnością, którą wykonało wiele osób, usłyszawszy o eksplozji w Oslo. Ja sam jeszcze nie zdążyłem zadzwonić. Jak wspomniałem, mama była wtedy w Polsce, a na ogół łatwo ją zmartwić. Nie chciałem jej niepokoić, zanim nie dowiem się czegoś więcej. Tymczasem okazało się, że przypadkiem miała włączony telewizor pokazujący zdjęcia z dzielnicy rządowej. Z początku myślała, że to wiadomości z Afganistanu. Później w rogu ekranu zobaczyła napis „Oslo". Gdy do mnie zadzwoniła, wychodziłem właśnie z głównego budynku.

- Gdzie jesteś?

Widziała, że w drodze na wyspę miałem zahaczyć o biuro AUF-u, więc musiała się upewnić.

- Na obozie - odpowiedziałem, ale nadal wydawała się niespokojna.

- Wszystko w porządku?

Pośrodku trawnika przy głównym budynku wystawiono dwa wielkie dmuchane zamki. Strefa dla palaczy położona była dalej, gdzie trawnik kończy się, a strome wzgórze prowadzi do wody, lecz takie rzeczy nie wydawały mi się w tamtej chwili ważne. Zakradłem się między dwie nadmuchiwane konstrukcje i zapaliłem papierosa.

- Spokojnie - pocieszyłem ją. - U mnie wszystko dobrze.

- Co teraz robisz, Adrian?

Z miejsca, gdzie stałem, widać było dużą część fiordu między wyspą a stałym lądem. Pięćset pięćdziesiąt metrów wody oddzielającej nas od reszty świata. Przed zdarzeniem w Oslo to właśnie tworzyło magię tego miejsca. To czyniło obóz tutaj wyjątkowym przeżyciem, jakbyśmy byli małą, samorządną społecznością na uboczu wszystkiego. Teraz czuło się raczej, że jesteśmy odcięci, a odległość dodatkowo sprawiała, iż trudne, a wręcz niemożliwe wydawało się zrozumienie, co dzieje się po drugiej stronie fiordu.

- Nie wracam do domu - oświadczyłem. - Jestem przecież na wyspie.

- Pewnie masz rację - zgodziła się mama.

Była siedemnasta piętnaście.

Koło spichlerza spotkałem chłopaka z sekcji gotowości.

- Wiesz, że płynie do nas policja? - zapytał.

Zatrzymaliśmy się i zerknęliśmy na wodę. MS „Thorbjorn" znajdował się mniej więcej w połowie drogi przez cieśninę. Właśnie miał zwolnić przed przybiciem do nabrzeża.

Odwróciłem się. Poszedłem ścieżką w górę stromego wzgórza, minąłem domki letniskowe LO, po czym skierowałem się do stołówki. Przy miejscu dla palących zapaliłem ostatniego papierosa i wyrzuciłem pustą paczkę.

Na wyspie panował zupełnie inny nastrój. Niektórzy płakali. Inni rozmawiali przez telefon. Jeszcze inni stali w grupkach, by dyskutować o zajściu.

Była siedemnasta trzydzieści.

Pierwsze dźwięki rozległy się, gdy szedłem do kiosku. Dwa ostre uderzenia, jakby ktoś walił w blachę. Ponieważ dochodziły z rejonu głównego budynku, trudniej było zwrócić na nie uwagę. Jeśli ktoś robił coś

głośnego, to na ogół tam. Chwilę później zabrzmiała nowa seria huków. Próbowałem wyciągnąć szyję, ale z mojego miejsca nie byłem w stanie dojrzeć punktu informacji. Wzgórze jest zbyt strome, a widok zasłaniają domki letniskowe LO oraz okoliczna rośbnność.

Przez parę sekund trwała cisza. Wtedy ujrzałem biegnących ludzi. Jedni pędzili na skróty, inni leśną drogą. Zastanowił mnie sposób, w jaki biegli. Dlaczego tak oglądali się za siebie? Dlaczego przystawali, odwracali się, by zaraz potem gnać dalej? Podobnie jak inne osoby na placu, stałem, dopóki nie ujrzałem Tonje. Pędziła skrótem pod górę. Zbliżywszy się, wbiła we mnie wzrok.

- Uciekaj! - krzyknęła.
- Dlaczego? - zapytałem.
- On strzela!

Ruszyłem drobnym krokiem za nią, ale po paru metrach zwolniłem. Dotarłem do podnóża pagórka między stołówką a polem namiotowym. Tonje zniknęła w zagajniku. Wokół mnie zatrzymało się wiele osób i przez chwilę staliśmy tak, patrząc pytająco na siebie. Ciekawość walczyła ze strachem. Nagle ktoś otworzył okno w dużej sali. Pojawiła się w nim głowa Kahlida.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Zamknij wszystkie okna i drzwi na klucz - rozkazałem.

Zaraz potem rozległ się następny huk. Tym razem dużo głośniejszy, jakby dochodził z drugiej strony lasku. Zaledwie pięć metrów dalej ujrzałem dziewczynę biegnącą w moją stronę leśną drogą. Dwa kolejne, donośne uderzenia. Padła w przód i została na ziemi. Kątem oka dostrzegłem, jak obok niej upada jakiś chłopak. Co to ma być? Ćwiczenia? Jakaś gra? Cofałem się między namioty ścieżką wydeptaną w błotnistej trawie, gdy zobaczyłem go po raz pierwszy.

Wyszedł zza drzew na drogę, gdzie upadła dziewczyna. Miał wyprostowane plecy. Stąpał szybko, zdecydowanie, jednak nie reagował na otaczających go uciekających ludzi. Szedł w moim kierunku. Widziałem, że ma na sobie ciemne ubranie, spodnie wpuszczone w buty, coś na kształt munduru policyjnego. Na ramieniu miał zawieszoną torbę albo worek. Droga, którą szedł, była położona zaledwie pięć metrów ode mnie, a namiot, za którym się kuliłem, sięgał mi tylko do piersi. Nie widział mnie. Wzrok miał wbity przed siebie, w wejście do małej

sali. Wszystko inne zdawało się dla niego nieważne lub niewidzialne.

Może już zauważył dziewczynę w szarych dresowych spodniach. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła, czy stała tam cały czas, a może wracała spod prysznica. Nie wiedziała, co właśnie się stało, bo szła prosto w jego stronę. A on kroczył jej na spotkanie. Gdy znalazła się zaledwie metr od niego, mniej więcej w odległości, kiedy naturalnie byłoby, gdyby któreś z nich się odezwało, prawą ręką wyciągnął pistolet, który wycelował prosto w nią. Wycofała się, ale było za późno. Strzelił trzy razy w jej tułów. Wtedy stanął nad nią, krótko się jej przyjrzał, po czym oddał dwa kolejne strzały. Za każdym trafieniem jej kończyny drgały konwulsyjnie.

W tym samym momencie wszyscy wokół mnie rozbiegli się w panice. Instynktownie ruszyłem za nimi. Między namioty, na leśną drogę dzielącą pole namiotowe dwie części, a dalej w dół, do zagajnika na końcu placu. Tam, gdzie droga skręca na południe ku świetlicy, gnaliśmy dalej prosto, przez teren Oslo i Akershus, w stronę gęstych zarośli. Nie słychać już było strzałów z jego broni, lecz pociski trafiające drzewa rozrywały korę z delikatnym trzaskiem. Kuliliśmy

się w biegu. Przy zagajniku upadła jedna dziewczyna. Najpierw sądziłem, że podobnie jak wielu innych, potknęła się o odciągi porozpinane między namiotami. Jednak ona została na ziemi, a gdy się odwróciłem, zdawało mi się, że widzę w jej plecach dziurę.

Tymczasem policjant wkroczył już między namioty przy stołówce. Musieliśmy biec dalej. Między pnie drzew, przez las.

Nadal trudno mi pojąć, jak dotarliśmy stamtąd nad wodę. Kawałek dalej rosła zbita ściana cierni i krzaków. Musieliśmy przebiec prosto przez nią. Staranować ją jak stado bydła. Po drugiej stronie roślinność była rzadsza, a wzgórze prowadziło łagodnie w dół, w stronę niewielkiego występu otoczonego sosnami. Kierowaliśmy się ku wodzie. Czasem w linii prostej, kiedy indziej zygzakiem, gdy czuliśmy, że jesteśmy na celowniku mordercy. Biegnąc, krzyczeliśmy do siebie.

- Musimy wezwać policję!

Przy występie minęliśmy Ścieżkę Miłości i pędziliśmy dalej w dół stromego urwiska, które kończyło się przy brzegu. Tam minąłem Tima. Leżał z twarzą w żwirze.

- Nie możesz się tutaj chować! - krzyknąłem.

Zerknął na mnie zdezorientowany, po czym wstał. Po jego czole ciekła strużka krwi. Najprawdopodobniej wpadł prosto na jakąś gałąź czy drzewo.

Kilka metrów od brzegu w wodzie stał długi szereg drzew liściastych, a jedyna droga pozwalająca przejść dalej suchą stopą prowadziła wąskim przesmykiem między drzewami a lądem. To tam kierowała się większość ludzi nadbiegających z urwiska, ale można też było iść zewnętrzną stroną.

Zawahałem się.

W ukryciu między kamieniami, za drzewami leżał zwój metalowej siatki. Wielu uciekających kolegów runęło na ziemię, zaplątawszy zmęczone stopy w stalowy drut. Cała grupa zatrzymała się za nimi. Napastnik mógł w każdej chwili zjawić się na szczycie wzgórza lub na ścieżce. Niepewnym krokiem wyszedłem na śliskie kamienie, aby okrążyć drzewa od zewnętrznej strony. Przy każdym stąpnięciu woda obmywała mi kostki. Miałem wodoszczelne, dobrze zawiązane buty, lecz po kilku metrach i one przemokły. Czułem, jak lodowata woda przesiąka przez suche skarpetki i dociera do stóp.

Wtedy w ułamku sekundy jakbym zdał sobie sprawę z całej sytuacji:

To dzieje się naprawdę. Na poważnie.

W drodze do wody czekałem, aż ktoś gwizdnie i przerwie całą akcję. Myślałem, że jakaś organizacja chce nas w ten sposób czegoś nauczyć. Jednak gdy wody fiordu Tyri wdarły mi się do butów, było to niczym sygnał alarmowy wysłany od stóp aż do mózgu. Jak wiadomość przekazana głowie przez ciało, aby biec dalej. Wyprzedził mnie chłopak w brązowej bluzie z kapturem.

- Jakiś facet strzela - odezwał się.
- Tak, zdążyłem się zorientować - odparłem.
- Ale dlaczego?

W tej chwili nikt nie myślał o ataku terrorystycznym w Oslo. Wyjąłem telefon, by zadzwonić na policję, i znowu dotarła do mnie powaga sytuacji. Nie odezwał się sygnał połączenia, tylko trzy krótkie piśnięcia, a potem cisza. Oni biorą w tym udział!

- pomyślałem. Już ich powiadomiono! Gdybym tylko się dodzwonił, na pewno powiedzieliby mi, bym nie płynął, że to tylko ćwiczenia.

Że wszystko będzie dobrze.

Znajdowaliśmy się na południowym krańcu wyspy. Rząd drzew i krzewów wystających z płytkiej wody ciągnął się prawie nieprzerwanie aż do ostrego cy-

pla położonego jakieś sto metrów dalej. Od miejsca, gdzie stałem, aż do tego punktu równym strumieniem napływali moi przyjaciele. Przy cyplu zatrzymywali się, jeden za drugim zdejmowali ubrania, brodzili w ciemnej toni i rzucali się wpław. Niektórzy już kawałek odpłynęli, w oddali dostrzegałem ich głowy, wynurzające się przy każdym ruchu ramion. Temperatura fiordu była znacznie niższa niż zwykle z powodu intensywnych opadów w ostatnich tygodniach. Ciało bolało mnie po długim biegu. Mimo to pomyślałem - To tam muszę dotrzeć. Muszę tam dotrzeć.

Z lądu odległość nie wydaje się duża. Zarys wyspy na horyzoncie po drugiej stronie fiordu Tyri jawi się na tyle ostry i wyraźny, że czasami można rozważać przeprawę wpław, gdy nie uda się zdążyć na prom. Jednak widok z cypla na wyspie jest inny. Na brzegu od strony stałego lądu brak jest punktów zaczepienia, nie można go z niczym porównać, bo stanowi odległą ścianę drzew i budynków.

Do cypla dobiegłem ostatni. Na kamieniu leżały bluzy i podkoszulki, buty i spodnie. Zazwyczaj się tu kąpano pewnie dlatego, że nieduże drzewka oddzielają to miejsce od reszty wyspy. Teraz te same

zarośla były kryjówką osób walczących o życie. Dotarłszy do kamienia jako ostatni, nie mogłem jednak pozbyć się myśli, że napastnik może w każdej chwili się tutaj zjawić. Przez gęste liście nie dałoby się go zobaczyć, nim byłoby za późno.

Długie sznurówki butów górskich miałem zawiązane na supeł i przymocowane do spodni trekkingowych za pomocą pętelek. Rozsupływanie ich zupełnie nie wchodziło w grę. Wydobyłem telefon komórkowy z kieszeni i szybko zawinąłem go w szarą bluzę AUF-u, która została na kamieniu. Wtedy zrobiłem kilka pierwszych kroków w wodzie. Całkowicie ubrany.

Trochę dalej jakiś chłopak szedł, rozmawiając przez telefon. Rozebrany do *majtek* brodził po biodra w wodzie. Nadal trzymając aparat przy uchu, zaczął płynąć, a później, po kilku ruchach ramion, zrobił coś, co mnie zaskoczyło. Zamachnął się i go wyrzucił. Jego głowę otaczała rozbryzgująca się woda, a telefon poszybował w górę. Z pluskiem wylądował w toni parę metrów dalej. Ten widok, ujrzany zaledwie kilka minut po tym, jak sam starannie zawinąłem własną komórkę w bluzę, wydał mi się zupełnie absurdalny. Dlaczego, do licha?

To niepewność skłoniła mnie do tego, że niechętnie wszedłem do wody. Wywołała ją myśl, że moje życie może znajdować się w niebezpieczeństwie. Gdy lodowata ciecz dotarła do mojej szyi, gdy buty i spodnie zaczęły mi nieznośnie ciążyć, musiałem już jedynie trzymać się blisko osób płynących przede mną. Jednak nie opuszczało mnie uczucie, że przesadziliśmy, że obyłoby się bez tej przeprawy wpław.

Po jakichś pięćdziesięciu metrach nie wytrzymałem. Przepełnione adrenaliną ciało nie zarejestrowało, jak bardzo jest zmęczone, ale biorąc pod uwagę dystans, jaki pokonaliśmy od stołówki, oraz tempo naszego biegu, kryzys pozostawał jedynie kwestią czasu. W gardle ścisnęło mnie, aż prawie nie mogłem oddychać. Kończyny powoli, lecz nieuchronnie traciły mobilność. Z każdym ruchem ramion z coraz większym trudem utrzymywałem się na powierzchni. Odległość od wyspy stale rosła. Czułem, jakby do lądu było równie daleko.

Próbowałem położyć się na plecach, lecz nic to nie dało. Każdym stylem szło mi równie ciężko. W normalnych warunkach jestem ponadprzeciętnym pływakiem, ale w tej sytuacji nie obowiązywały zwyczajne zasady. Nigdy wcześniej nie płynąłem w wodzie, która

tak mocno ściągała mnie w dół. Czułem, jakby coś chwyciło mnie za kostki i chciało zaciągnąć na dno. Aby się odciążyć, próbowałem rozwiązać sznurówki. Jednak za każdym razem, gdy opuszczałem ręce, zapadałem się i łykałem wodę. Poszedłbym na dno, nim zdążyłbym zdjąć buty.

Coraz trudniej było mi myśleć w logiczny sposób. Jeden głos podpowiadał: płyń za ludźmi, jesteś w niebezpieczeństwie. Inny mówił: tę przesadę możesz przypłacić życiem. Wreszcie jednak w mojej głowie została tylko jedna możliwość: zawrócić. Jeśli to ćwiczenie, przynajmniej nie utonę. Grupa przede mną prawie zniknęła mi z oczu. Nowa fala osób właśnie odbijała od brzegu wyspy. Jedna dziewczyna podpłynęła, by zapytać, jak mi idzie. Gdy zrozumiała, że wracam, próbowała mnie zatrzymać, ale w rezultacie tylko pociągnęła mnie w dół.

- Zostaw - rozkazałem jej. - Wracam na wyspę.

Ostatnie czterdzieści metrów do cypla było desperacką walką o utrzymanie się na powierzchni. Bez względu na to, jak bardzo szamotałem się, machając rękami i nogami, moje wysiłki nie wystarczały. Byłem najwyżej dwadzieścia metrów od wyspy, gdy wszystko stanęło w miejscu i toń wciągnęła mnie

po raz ostatni. Utonięcie zawsze jawiło mi się jako najgorsza możliwa śmierć. Na samą myśl o niemożności złapania oddechu dostaję napadu paniki. To tutaj mam zakończyć życie? Tuż przy brzegu? Pod wodą ginął wszelki dźwięk. A w głębi jaśniało dziwne światło, jakby dno lekko się żarzyło.

Wyciągnąłem nogi, by wyczuć podłoże. Stopy natrafiły na skałę. Było na tyle płytko, że podbródek wystawał mi nad taflę wody. Resztką sił zrobiłem dwa chwiejne kroki i wszedłem na cypel. Kaszlałem. Zdawało mi się, jakby w płucach zebrała się krew, ale była to tylko woda. Odkaszlnąwszy i odzyskawszy oddech, powlokłem się na kamień. Tylko tam mogłem być bezpieczny.

Woda sięgała mi mniej więcej do pasa, gdy zobaczyłem, jak wychodzi z krzaków. Na cypel prowadziły dwie drogi, o ile nie chciało się przedzierać przez zarośla. Droga, którą wcześniej wybrałem, przez kamienie przy wodzie na południowym skraju wyspy. I druga - ścieżka biegnąca od świetlicy i prowadząca łukiem przez listowie po wschodniej stronie cypla.

To właśnie tą ścieżką przyszedł. Spokojny i opanowany zatrzymał się na występie zaledwie siedem metrów od miejsca, gdzie stałem. Wzrok utkwił

w odpływających. Skuliłem się zwrócony częściowo do niego, a częściowo do przyjaciół w wodzie. Podkoszulek kleił mi się do piersi. Uniósł coś na kształt karabinu i przytknął do niego policzek. Na powierzchni wody widać było zarysy dziesiątek głów. Wtedy wypalił. Huk nie przypominał niczego, co w życiu słyszałem. Metaliczny brzęk, a po nim głęboki, donośny bas. W fiordzie ukazał się biały słup, który po chwili opadł na wodę jak deszcz. Odległość była znaczna. Wycelował i znów wypalił. Tym razem strzał trafił zupełnie gdzie indziej. Z miejsca, w którym stał, tuż przy wodzie, pewnie trudno mu było celować. Milimetr za wysoko i kula trafiała dziesięć metrów dalej. Milimetr za nisko i kuli brakło dziesięciu metrów. Znowu wystrzelił. I znów pudło.

Ten człowiek nie strzelał, by wzbudzić strach, ale by zabić. Moi koledzy płynęli, walcząc o życie. Stojąc w wodzie najciszej, jak potrafiłem, odniosłem wrażenie, że gdzieś go już widziałem. W filmie o nazistach? Spodnie miał po wojskowemu wpuszczone w buty. Włosy starannie zaczesane do tyłu. Kamienne spojrzenie.

Po paru sekundach opuścił karabin i krzyknął:

- Zabiję was wszystkich!

Odezwał się znienacka. Początkowo obojętny i spokojny, teraz nagle stracił opanowanie. Zawahał się chwilę jakby z zadowoleniem, po czym znów wrzasnął, tym razem tak głośno, że głos mu się załamał.

- Umrzecie!

Wtedy ponownie uniósł broń i wystrzelił. Ile razy? Cztery? Pięć? Nie wiem, ale po kilku strzałach trafił prosto w grupkę płynących dzieciaków. Znów ukazał się słup wody. Jednak tym razem wydawało się, że ma inny kolor.

Gdy skończył, opuścił karabin na wysokość biodra. Stał chwilę, patrząc na fiord, po czym się odwrócił.

Trudno powiedzieć, czy widział mnie cały czas, czy zauważył dopiero później. Gdy się obrócił, wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jednym ruchem przeniósł wzrok z odpływających na mnie i uniósł broń. Woda sięgała mi do ud. Nie miałem dokąd iść. Miał przed sobą żywą tarczę. Musiał jedynie pociągnąć za spust. Przyłożył policzek do karabinu i zmarszczył czoło.

- Nie! - ryknąłem resztką sił w płucach. Moje ręce wisiały luźno po bokach. - Nie strzelaj!

Wstrzymałem oddech. Serce waliło mi tak mocno, że musiało być widoczne przez mokry podkoszu-

lek. Gdzie mnie trafi? W głowę? W serce? Miałem nadzieję, że tam. I że wszystko szybko się skończy. Nigdy wcześniej we mnie nie celowano. Ogarnęło mnie uczucie całkowitego podporządkowania. Mógł ze mną zrobić, co chciał.

Od niego zależało, czy zginę, czy będę żył.

Szukałem odpowiedzi w człowieku zasłoniętym bronią, lecz widziałem jedynie czarną przepaść celownika. Ciało przygotowywało się na przyjęcie kuli. Swędziała mnie skóra przy sercu, na czole.

Zamknął oko.

Teraz to już koniec.

Wtedy opuścił karabin, odwrócił się na pięcie i zniknął. Z trudem złapałem powietrze. W tej samej chwili ugięły się pode mną kolana. Niepewnym krokiem ledwie zdołałem wejść na wysepkę, po czym opadłem na kamień.

Z jakiegoś powodu wciąż żyłem.

Wszystkie wyciszone uczucia teraz szalały w moim ciele. Nie odnajdywałem w sobie radości, ulgi, że mnie oszczędzono; czułem jedynie intensywne, rozchodzące się we mnie zimno. Nie mogłem opanować drżenia. Wyżej na kamieniu leżała szara bluza AUF-u z moim telefonem. Zdjąłem mokry podkoszulek, wy-

dobyłem komórkę i włożyłem suchą bluzę. Nadal padało. Mgła spowijała ciężko wzgórza po drugiej stronie cieśniny. Powietrze wydawało się zimniejsze od wody, więc leżałem z zanurzonymi w niej nogami, ale roztrzęsiony zsuwałem się z kamienia i cały czas musiałem się podciągać.

Jedną z pierwszych rzeczy, które zrobiłem, było zatelefonowanie na policję. Kolejny raz przed zerwaniem połączenia usłyszałem trzy szybkie sygnały. Co miałem przez to rozumieć? Czyżbym nie mógł dodzwonić się na numer ratunkowy z aparatu, który miał pełen zasięg? To nie trzymało się kupy.

Niedługo później w fiordzie ujrzałem MS „Thorbjorna" pośrodku swej trasy. Łódź wydawała się pusta. Wolno sunęła w stronę lądu. Jej widok wzbudził we mnie nadzieję. Ktoś uciekł. A to przecież oznaczało, że ktoś również wróci. Czy to dlatego prom się zatrzymał?

Gdy nie zawrócił ani nie popłynął dalej do nabrzeża, a nagle zmienił kurs na północ i częściowo zniknął mi z oczu, nic już nie rozumiałem. Czyżby coś zaszło na lądzie? Dlaczego nie zawinął do brzegu? Byliśmy uwięzieni na wyspie z człowiekiem, który

chciał nas zabić. MS „Thorbjorn" był naszą jedyną szansą ucieczki, a teraz i on nas opuścił.

Gdy tak leżałem mokry, zmarznięty i samotny, z mojego kamienia wyspa wydawała mi się najbardziej opuszczonym miejscem na ziemi. Chyba nawet ptaki odfrunęły. Do tej pory wypełniały wyspę śpiewem i szczebiotem od pierwszego brzasku aż po zapadnięcie zmroku. Teraz nie słyszałem choćby ćwierknięcia.

Regularnie dochodziły mnie salwy strzałów, a po nich krzyki. Oznaczało to, że wiele osób znajdowało się w tej samej sytuacji co ja, tylko jak mielibyśmy wydostać się z tego piekła? Moim jedynym pomysłem były jolki i łódki zacumowane przy nabrzeżu. Może dałoby się nimi przepłynąć. Inna sprawa to jak do nich dotrzeć.

Zamiast dalej rozmyślać o sposobach ucieczki, uczepiłem się telefonu i możliwości poinformowania świata zewnętrznego. Moja przyjaciółka widziała wiadomości i przysłała mi esemes.

„Jesteś na wyspie?"

Zacząłem jej odpisywać, gdy usłyszałem serię strzałów zaledwie dwadzieścia, trzydzieści metrów dalej. Jak przerażone zwierzę zamarłem w bezruchu zbyt wyczerpany, by cokolwiek zrobić.

„Przyślij pomoc” - napisałem.

Niedługo potem zadzwonił telefon. „Varden” - pokazał wyświetlacz. Niewiele osób śledziło mnie na Twitterze, lecz jedną z nich był dziennikarz z lokalnego dziennika. Pewnie przeczytał któryś mój wpis i zobaczył, że wybierałem się na tegoroczny obóz.

- Dostaliśmy informację o strzelaninie na Utøyi. Jesteś tam? - zapytał.
- Tak - odpowiedziałem.
- Co się dzieje?
- Doszło do wymiany strzałów.
- Ktoś jest ranny?
- Postrzelono mnóstwo osób.
- Widziałeś jakichś zabitych?

Po drugiej stronie cieśniny na wzgórzu stało wiele domów. W salonach paliły się światła. Było tam bezpiecznie i ciepło. Może ludzie oglądają wiadomości? Albo wypatrują przez okna?

- Z tego, co widziałem, zabito co najmniej cztery osoby - powiedziałem.
- Ukryj się - polecił dziennikarz. - Dzwonię na policję.
- Jestem dobrze schowany - wyjaśniłem.

Tak naprawdę była to jednak najgorsza możliwa kryjówka. Nie dało się z niej uciec inaczej niż wodą, a przez zwarły gąszcz nie mogłem obserwować sytuacji.

Zanim zdążyliśmy się rozłączyć, pojawiła się nowa rozmowa. Dzwonił ojciec innego obozowicza. Nigdy nie dowiedziałem się którego. Powiedział, że da mi znać, gdy porozmawia z policją. Ostrzegłem go, aby nie kontaktował się z innymi na wyspie. W ubraniach rozrzuconych na cyplu leżało dużo telefonów komórkowych.

Wiele zaczęło już się odzywać.

Gdy czekałem, aż oddzwoni, od nabrzeża przy głównym budynku odbiła kolejna łódź, drewniana łajba „Reiulf". Również ona wydawała się pusta. Ledwo poruszała się naprzód, jakby zanurzono ją w syropie. Podczas gdy tak bezradnie sunęła w stronę lądu, rozlegały się kolejne, potężne odgłosy strzałów, a następnie wokół kadłuba pojawiały się wielkie, białe słupy wody. Widok tych eksplozji na powierzchni fiordu oraz myśl, że zabójca wrócił na moją stronę wyspy, pewnie powinny kazać mi poderwać się na równe nogi, a przynajmniej ułożyć plan ucieczki. Jednak ja dalej leżałem.

Kiedy oddzwonił ojciec tamtego obozowicza, powiedział, że policja jest w drodze, i przykazał, żebym

nie wychodził z ukrycia. Dopiero kilka dni później uderzyło mnie, że nie zapytał w ogóle o swojego syna czy córkę. Zależało mu jedynie, by wiedzieć, co się dzieje i czy jestem bezpieczny.

A bezpieczny nie byłem ani trochę. Cypel był jednak przynajmniej miejscem, nad którym jakoś panowałem. Wyjście w nieznany teren wiązałoby się z ryzykiem nagłego potknięcia na ścieżce, którą on mógł w każdej chwili nadejść. To zbyt niebezpieczne. Przede wszystkim byłem wycieńczony, mocno wyziębiony i miałem dość kurczowego trzymania się kamienia. Nadal nie mogę pojąć, dlaczego nie włożyłem innych suchych ubrań leżących na wysepce, dlaczego nie zdjąłem przemoczonych spodni i butów.

Pewnie rozproszyła mnie komórka. Po zniknięciu łodzi telefon stanowił dla mnie jedyną możliwość, by przeżyć ten koszmar. Po przeszło dwudziestu minutach spędzonych na kamieniu wreszcie dodzwoniłem się na policję. Według rejestru posterunku w rejonie południowego Buskerudu była wtedy siedemnasta pięćdziesiąt dziewięć. Na drugim końcu linii odezwała się kobieta.

- Centrala operacyjna.

- Jestem uczestnikiem obozu na Utøyi - przedstawiłem się. - Czy wiecie o strzelaninie, która tutaj trwa?

- Tak, mieliśmy mnóstwo zgłoszeń.

- Jedziecie tu?

- Tak, nasi najlepsi ludzie są w drodze. Gdzie jesteś?

- Na wyspie. Na skraju plaży. Wokół mnie leży mnóstwo ubrań, więc raczej mnie nie znajdzie.

- To dobrze.

- Ktoś tu chodzi i strzela...

- Widziałeś go?

- Tak, właśnie we mnie celował.

- Postrzelił cię?

- Nie. Zrezygnował i nie strzelił do mnie.

- Jak wyglądał?

- Miał na sobie ciemne, ciasno przylegające ubranie. Gładko zaczesane blond włosy. Wygląda jak nazista.

- Jaką miał broń?

- Karabin. Podobny do AK-47.

Na drugim końcu zapadła cisza.

- Przepraszam, musiałam to zapisać.

- Marznę.

- Może owiń się ubraniami, które leżą wokół?

- Nie, wolałbym się teraz nie ruszać.

- Okej. To rozsądne. Leż przy ziemi.
- Długo jeszcze potrwa, zanim tu przyjedziecie?
- Nasi ludzie wkrótce tam będą.
- Wysłaliście helikopter? Nie płynie teraz żadna łódź.
- Helikopter też leci.
- Dobrze. Nie słyszę go.
- Usłyszysz dopiero, gdy będzie tuż nad twoją głową.

Rozległa się następna salwa strzałów.

- Boże, to na lądzie też strzelają? - zawołałem.
- Przedostał się na drugą stronę? - zapytała dyspozytorka.
- Nie widziałem, ale niedawno płynęła łódź.
- Widzisz, żeby ktoś strzelał?
- Nie, ale słyszę.
- Obiecaj mi, że będziesz tam leżał. Nie płyń, nie biegnij, pozostań w ukryciu, dopóki sytuacja nie będzie pod kontrolą.

Znowu zapadła cisza. Dobrze było mieć kogoś na drugim końcu linii. Kogoś, kto mógł mi powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

- Musisz z kimś pogadać - odezwała się wreszcie.
- Ale jestem tu sam jak palec.

Powiedziała, żebym zadzwonił, jeśli coś zaobserwuję albo będę chciał z kimś porozmawiać.

Najlepsi ludzie byli w drodze.

Dzwonienie telefonów wokół mnie nasiliło się, przeszło w ciągły miks melodii i rytmów. Wydawało się, że cały kamień wibruje. Wszędzie dookoła piszczały i brzęczały telefony. Połączenia, których nigdy nie odebrano, i wiadomości, których nie przeczytano. Za każdym z tych dźwięków kryli się ojcowie, matki, przyjaciele.

O osiemnastej sześć zaktualizowałem status na Facebooku. Słowa przyszły same, lecz zdrętwiałe z zimna palce nie zdołały poprawnie złożyć liter:

„Strzlaina na Utøya. Jstem tu i kocham was wszytkich".

Miałem względną pewność, że to będzie mój ostatni przekaz dla świata. On mógł wrócić w każdej chwili. Dobrze się poczułem, gdy to zrobiłem. Mogłem też co prawda napisać esemes, ale do kogo? Musiałbym wybrać osobę, która najwięcej dla mnie znaczy. Nie mogłem wysłać takiej wiadomości mamie, która była w Polsce i nie byłaby w stanie nic zdziałać, ani tacie, który choruje na serce. Moich rodziców nie ma na Facebooku, więc nie musiałem się obawiać, że prze-

czytają tam moją wiadomość. Ale dobrze było wiedzieć, że gdyby nie udało mi się przeżyć, informacja ostatecznie w jakiś sposób do nich dotrze.

Minęło dziesięć minut, kiedy kolejna grupa około dwudziestu zgarbionych osób przeskoczyła te same krzaki, które my pokonaliśmy jakąś godzinę wcześniej. Szeptali do siebie krótko i niespokojnie oglądali się przez ramię, po czym zebrali się na kamieniu i w wodzie wokół mnie.

Niedługo wcześniej usłyszałem napływający zza wzgórza dźwięk płatów wirnika, a teraz gdzieś w gęstych chmurach nadal rozbrzmiewało łopotanie. Z drogi po drugiej stronie cieśniny dochodził do nas też odgłos karetek. Tworząc migoczący pas błękitu, zatrzymały się na ostatnim odcinku przy nabrzeżu na lądzie.

Przybyła pomoc, ale dlaczego my nadal tutaj byliśmy? Dlaczego nikt nie dotarł na wysepkę?

Podczas gdy nowo przybyli dyskutowali, co dalej robić, dostałem kolejną wiadomość od dziennikarza z „Varden". „Jesteście bezpieczni? MMS, jeśli możesz" - napisał. „Policja będzie zaraz na wyspie, ale nadal strzelają" - odpisałem. Jakaś dziewczyna blisko dwudziestki podeszła do mnie, by zapytać, jak się czuję.

- Zimno mi - odparłem.

- Zaraz ześlizgniesz się do wody - powiedziała i pomogła mi wspiąć się wyżej na kamień. Okryła mnie kurtką przeciwdeszczową, zaczęła pocierać mi plecy. Gdy poczułem jej dłonie, napięcie opuściło moje ciało, które ogarnęło jeszcze większe drżenie. Nie byłem już sam. Dopóki tu byli, mogłem jeszcze trochę wytrzymać.

- Musimy płynąć - stwierdziła.

Nie było takiej możliwości. Ledwie przeżyłem pierwszą przeprawę, a nadal miałem świeżo w pamięci widok słupów wody unoszących się za „Reiulfem". Co powiedziała mi dyspozytorka policji? Pozostań w ukryciu, dopóki sytuacja nie będzie pod kontrolą.

- Musimy tu zostać - sprzeciwiłem się. - Tak jest najbezpieczniej. Widziałem, jak strzelał do ludzi w wodzie.

Podczas gdy inni dalej dyskutowali, przyszedł nowy esemes z „Varden". „MMS?" Nigdy nie odpisałem na tę wiadomość. Po krótkiej wymianie zdań grupa się rozdzieliła. Dziewczyna, która okryła mnie kurtką, razem z paroma innymi osobami zaczęła się rozbierać, po czym wszyscy weszli do wody i popłynęli przed siebie. Pozostali rozlokowali się na niewiel-

kiej przestrzeni wysepki, którą mieli do dyspozycji. Niektórzy chowali się w zaroślach bliżej lądu. Jakiś chłopak usiadł za krzakiem wystającym dalej nad powierzchnią wody.

- Zostały jakieś łodzie? - zapytał ktoś.

- Może chwycimy się drzewa albo czegoś takiego? - zaproponował ktoś inny.

Postanowili zostać, lecz ta decyzja nie dawała im spokoju.

Niedługo później znowu zadzwonił dziennikarz z „Varden". Trzymałem palec na przycisku przyjmowania połączeń, więc odebrałem bez zastanowienia.

- Możesz zrobić zdjęcie? - spytał.

- Nie - odparłem. - Nie ma czemu robić zdjęć.

Gdy się rozłączyłem, kilka osób właśnie rozbierało się, aby popłynąć. Nad nami, kilkaset metrów w głąb fiordu, po raz pierwszy pojawił się helikopter. Siedząc w rozpaczy na cyplu, byliśmy przekonani, że przyleciała policja. Śmigłowiec zbliżał się prosto w naszą stronę. Dźwięk wirnika rozbrzmiewał coraz głośniej. Jakiś chłopak skoczył na najbardziej wysunięty kamień wysepki i machał rękami. Ja leżałem dalej bez ruchu pod kurtką przeciwdeszczową. Gdy helikopter przelatywał wprost nad naszymi głowa-

mi, a ryk płatów wirnika zagłuszał wszystko, wiele osób na cyplu w panice zaczęło wymachiwać w jego stronę. Przez moment wydawało się, że śmigłowiec wyląduje, on jednak poleciał dalej. Podmuch owionął nasze głowy, a maszyna przesunęła się prosto nad wyspą. Zaaferowany dźwiękiem i widokiem helikoptera zupełnie zdębiałem, gdy dotarły do mnie wydarzenia następnych sekund. Zaczęło się od tego, że dwie osoby upadły w zarośla. Wtedy jakaś dziewczyna wbiegła do wody.

- To on! - ktoś zawołał.
- Idzie!

Ale ja już to wiedziałem. Poznałem to po ruchach wokół. Nie było wątpliwości, co zaraz nastąpi. Znów się zaczęło.

Tym razem wyszedł prosto z krzaków po zachodniej stronie wyspy. Pierwsza salwa rozległa się tak głośno, że odskoczyłem na pół metra od kamienia. Wtedy zabrzmiała nowa seria strzałów, a po niej krzyki, których nie słyszałem w najgorszych koszmarach. Wołania o litość. Mocno zacisnąłem powieki.

Podobnie jak zwierzęta, ludzie są wyposażeni w trzy mechanizmy obronne na wypadek zagrożenia życia. Niektórzy uciekają. Inni przechodzą do ataku.

Ja udawałem martwego. To nie był świadomy wybór, po prostu tak się stało.

Rozwarłem powieki i ujrzałem, jak jakiś chłopak za krzakiem przewraca się na bok. Dziewczyna w samym staniku i spodniach wbiegła do wody. Rozglądała się na boki, jakby szukała ostatniej drogi ucieczki. Ale nie miała dokąd biec. Za nią stał morderca. Przed nią rozciągała się tylko woda.

Błaganie. Stłumiony krzyk.

Wówczas rozległ się huk. Zrobiła krok w przód. Znowu huk. Druga dziura tuż obok pierwszej. Padła przed siebie w wodę, jakby chciała rzucić się wpław. A kiedy tak leżała z twarzą w dół, strzelił do niej jeszcze raz. Zamknąłem oczy, lecz było już za późno.

Zabrzmiały dwa kolejne strzały, dwa potężne trzaski, a po nich poczułem szturchnięcie w plecy, gdy coś upadło na kamień, i nacisk na nogi, kiedy ktoś na nich wylądował i znieruchomiał. To drugie uczucie było lekkie, jakby ktoś zarzucił na mnie koc.

Wtedy nastała cisza. Słychać było jedynie intensywny, przeszywający pisk i dźwięk helikoptera gdzieś w tle. Miałem nadzieję, że będzie w nim siedział ktoś z karabinem, lecz nic na to nie wskazywało. Dziwnie byłoby zginąć teraz, gdy pomoc była tak blisko.

Nagle ogarnęło mnie nieprzyjemne uczucie. Kurtka przeciwdeszczowa zakrywała mi głowę do połowy, więc mogłem coś zobaczyć. Jego buty. Znajdowały się tuż przy mojej twarzy. Kopał martwe ciała leżące wokół mnie. Jakby chciał sprawdzić, czy ktoś jeszcze żyje. Znów zacisnąłem powieki.

Pisk w uchu narastał. Był tak głośny, że mógłbym przysiąc, iż on też go słyszy. Cicho - pomyślałem. Proszę, bądź cicho. Ale nie mogłem pozbyć się tego dźwięku. Wstrzymałem oddech. Ustało drżenie, które przez ostatnią godzinę przelewało się przez moje ciało. Wtem poczułem słabe ciepło tuż przy uchu. Ciepło lufy karabinu. Moje serce biło o kamień.

Wtedy pociągnął za spust.

W fali ucisku, która zalała mnie zaraz potem, miałem wrażenie, jakby eksplodowała cała moja głowa. Zupełnie zanikł słuch w lewym uchu. Jednak samej kuli prawie w ogóle nie poczułem. Jak gdyby ktoś pstryknął mnie w ramię. Leżałem nieruchomo, czekając na następny strzał. Jednak on nie nadszedł. Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem, jak odchodzi po kamieniach wzdłuż brzegu w stronę głównego budynku. Później wkroczył na ścieżkę prowadzącą w lewo do świetlicy i zniknął.

Czy żyłem? Zaczerpnąłem tchu. Nieprzyjemne uczucie rozeszło się po całym ramieniu. Lewa ręka wydawała się zimna i jakaś dziwna. Jak gdyby odjęto mi całe plecy. Ostrożnie usiadłem i zdjąłem kurtkę. Bluza AUF-u była zakrwawiona i postrzępiona. Wolałem nie wiedzieć, jak wygląda rana pod spodem.

Kilka metrów dalej w płytkiej wodzie leżała dziewczyna próbująca wspiąć się na brzeg. Miała jasnobrązową skórę i czarne, kręcone włosy. Musiała być jedną z osób, które przebiegły nade mną, gdy zaczęto strzelać, ale potknęła się po drodze.

- Nie mogę iść - powiedziała. - Pomożesz mi?

Gdy już miałem wstać, zauważyłem chłopaka leżącego na moich nogach. Potrząsnąłem nim, ale nie zareagował. Nie widziałem wcześniej martwego człowieka. Teraz wszędzie wokół było ich pełno. Na kamieniu, w krzakach, w wodzie. Chwyciłem dziewczynę pod ramiona i zobaczyłem, jak otaczająca nas woda zaczęła zmieniać kolor. Krzyk byłby jedyną naturalną reakcją w tej sytuacji, lecz stłumiłem go w sobie w obawie, że napastnik może wrócić. Zamiast tego zaparłem się, by wciągnąć dziewczynę na ląd, a ona odpychała się jedną nogą. Drugą, nieruchomą, wlokła za sobą. Pośrodku uda miała ranę postrzałową

wielkości mojej dłoni. Gdy ją spostrzegła, *zaczęła* szybciej oddychać.

Wciągnąłem ją na kamień i położyłem się obok. Gdy okrywałem nas kurtką przeciwdeszczową, z zarośli dobiegł chłopięcy głos.

- Zostaw nas! - zawołał. - Dość już zabiłeś!

Zaraz potem wszedł na kamień. Mógł mieć najwyżej dziesięć-jedenaście lat.

- Widzieliście mojego tatę? - zapytał.

Mówił zbyt głośno, ale nie byliśmy w stanie go uspokoić.

- Zamknij się - szepnęła dziewczyna leżąca obok mnie. - Przez ciebie nas zabije.

Powiedziałem, że możemy mu pomóc, ale chyba go nie przekonałem. Niedługo później poszedł dalej w głąb wyspy i zniknął mi z oczu.

Tymczasem dziewczyna zaczęła słabnąć. Jej twarz poszarzała. Usta zrobiły się sine. Przywarłem do niej mocniej pod kurtką, próbowałem odwrócić jej uwagę.

- Dobrze byłoby teraz zapalić - powiedziałem.

To pierwsze przyszło mi do głowy. Nie odezwała się.

- Mam przy sobie portfel, więc będziemy mogli kupić sobie paczkę, gdy wrócimy na ląd.

Przestała się trząść i popatrzyła na mnie pytająco.

- Bo zakładam, że kiosk jest zamknięty.

Nie byłem pewien, czy mogę się roześmiać. Na szczęście ona zaczęła pierwsza. Głos dobywał się z głębi brzucha. Po chwili oboje leżeliśmy na kamieniu, zanosząc się śmiechem.

Rozmawialiśmy o tym, co zrobimy po dotarciu na ląd. O tym, że obóz musi trwać dalej, gdy to się skończy. Przecież nie odbył się jeszcze kabaret centralnego zarządu! Jens musi wygłosić swoją mowę! Gadaliśmy z Alexandrą o naszych rodzicach i śmialiśmy się z palców, które po długim przebywaniu w wodzie pomarszczyły się nam jak rodzynki.

Żadne z nas nie zachowywało się szczególnie racjonalnie. Morderca chodził pewnie dalej po wyspie. My zaś leżeliśmy pod kurtką przeciwdeszczową, rozmawiając o minionym dniu i o dniach, które nadejdą, jak gdyby nic się nie stało. Czuliśmy, że musimy przeżyć. Oboje zostaliśmy postrzeleni. Żadne z nas nie wiedziało tak naprawdę, jak poważnie.

Leżąc tak, walczyliśmy między sobą o kurtkę. Ona ciągnęła ją w swoją stronę, a ja w swoją. Żeby się pod nią zmieścić, musieliśmy znajdować się jak najbliżej siebie, ale było to sporym wyzwaniem. Oboje mocno drżeliśmy.

- Au - pisnęła, gdy dotknąłem jej uda.
- Au - syknąłem, czując ucisk na ramieniu.

Bolało nas za każdym razem, kiedy stykaliśmy się ciałami. Wracając myślami do tej sytuacji, zastanawiam się, dlaczego nie wykorzystaliśmy któregoś z leżących wokół ubrań, tylko kłóciliśmy się o kurtkę. Ona była naszą jedyną ostoją bezpieczeństwa. Przypuszczalnie już raz uratowała mi życie. Ukryła mnie tak, że morderca musiał zgadywać, gdzie mam głowę. Pomyślałem, że najmądrzej będzie leżeć pod nią, aż ktoś nadejdzie z pomocą. Dlaczego mielibyśmy ryzykować, postępując w inny sposób?

Po jakimś czasie przypomniałem sobie o moim telefonie. Od ostatniego razu przyszło kilka wiadomości. Dwie z nich od Sveina Gustafa. „Wszystko w porządku?" - brzmiała pierwsza. A gdy nie odpisałem: „Adrian. Odpisz, proszę". Wyświetlacz zaparował od środka, więc trudno mi było odczytać treść. Drżącymi palcami uaktualniłem swój status na Facebooku:

„Jetsem postrzelony, alw. Żyje".

Później odpowiedziałem na esemes Sveina Gustafa.

„Posrtzelony."

Odpisał od razu.

„Jesteś postrzelony? Próbuję ich zmusić, żeby przedostali się na drugą stronę."

Gdy ja stukałem w klawisze, nagle odezwała się Alexandra:

- Patrz, ktoś jest za tobą.

W wodzie za najbardziej wysuniętym kamieniem wysepki siedział chłopiec. To on wymachiwał w kierunku helikoptera. Postrzelono go trzy czy cztery razy w ręce i nogi, a teraz siedział oparty o kamień.

- W porządku? - zapytałem.

- Mogło być lepiej - odparł.

Z krzaków wyszedł chłopak w bluzie z kapturem. Podchodził do ludzi, pytając, jak się czują. Poprosiłem go, żeby spojrzał na moje ramię. Podniósł kurtkę.

- Nie wygląda dobrze - rzekł.

Nie to chciałem usłyszeć, ale ktoś przynajmniej to obejrzał. Poszedł dalej do chłopca na wysepce, zapytał, czy może coś zrobić, po czym udał się do ludzi w krzakach. Leżały tam cztery osoby, które teraz usiadły. Jedna z nich mocno krwawiła z rany na głowie.

Panował wśród nas dziwny nastrój. Zaledwie dziesięć minut wcześniej najbardziej baliśmy się postrze-

lenia. Teraz, gdy już do tego doszło, wszyscy myśleli, że gorzej być nie może. Chyba, żebyśmy zginęli. Ogarnęła nas mieszanina rezygnacji i bezgranicznej rozpaczy.

Było ich trzech, przybiegli tą samą drogą co my, zanim rzuciliśmy się wpław. Mieli na sobie czarne mundury i nieśli broń. Dzieciaki w krzakach zaczęły krzyczeć:

- Idźcie sobie!
- Zostawcie nas!

Cisnęły w nich kamieniami, które miały pod ręką. Leżałem, czekając, co zrobią przybyli. Czy uniosą broń? Proszę - pomyślałem - już starczy. Byłem tak wyczerpany, znużony wszystkim. Odkąd rozległy się pierwsze strzały, tylko ten jeden raz czułem coś innego niż strach i niepewność.

Jeden z nich rzucił się na pomoc osobom leżącym w krzakach. Inny pobiegł na koniec cypla, żeby zająć się chłopcem na kamieniu. Ostatni przykucnął koło mnie i Alexandry.

Coś się teraz stanie. Uratują nas.

Przyjrzawszy się nam krótko, policjant wstał i zaczął wykonywać rękami zamaszyste ruchy, dając znaki w kierunku nadpływających łodzi. Jego kolega wyjął

latarkę, by nadać w stronę lądu sygnał alfabetem Morsea. Gdy policjant znajdujący się po naszej stronie usiadł, zaczął dokładniej badać Alexandrę. Zachowywał się profesjonalnie i spokojnie, lecz jego spojrzenie zdradzało, że widok go przeraził. Kiedy opatrywał jej ranę, zapytałem go, co się stało.

- Złapaliście go? Żywego?

- Tak - odpowiedział. - Zatrzymaliśmy jedną osobę. Widziałeś więcej ludzi?

Na podstawie tego, co słyszałem przez radio, wiedziałem, że na drugą stronę płynął tylko jeden policjant, ale echo dobiegające od lądu sprawiało, że czasem miało się wrażenie, jakby tam też ktoś strzelał. Policjant uspokoił mnie, że ludzie na lądzie sprawdzają taką możliwość. Wyjął z kieszeni kurtki bandaż, którym zaczął owijać ranę na udzie Alexandry. Próbowałem usiąść, ale mnie powstrzymał.

- Nie wstawaj. Leż - rozkazał. - Przyciskaj ranę do kamienia. To zatamuje krwawienie.

Zaraz potem na cyplu zjawiła się następna grupa policjantów.

- Delta, Delta! - wołali, przedzierając się przez zarośla.

Zapytałem funkcjonariusza, dlaczego tak krzyczą. Wyjaśnił, że to w celu identyfikacji, aby nie doszło do nieporozumień, a mnie uderzyło, jak bardzo się narażali, by nam pomóc. Gdyby w tym momencie z krzaków wyszedł jeszcze jeden sprawca, byliby bez szans. Wydawali się całkowicie pochłonięci niesieniem pomocy, jakby w ogóle nie interesowało ich, co dzieje się wokół.

Kiedy policjant skończył bandażować udo Alexandry, wsadził pod opatrunek patyczek brzozowy i przekręcił go. Dziewczyna jęknęła.

- Co się tutaj stało? - zapytał.

Opowiedziałem mu pokrótce, co wydarzyło się, odkąd dwie godziny wcześniej opuściłem pole namiotowe. Mówiąc, myślałem: Jest już bezpiecznie.

Drżenie minęło, a ciało ogarnął spokój.

Najpierw załadowali chłopaka z cypla. Gdy łódź podpłynęła do nas, leżał owinięty kocem na jej tyłach. Woda odbijała się czerwienią od białego kadłuba. Jednostką sterował mężczyzna w średnim wieku mieszkający na kempingu. Był opryskliwy i podenerwowany. Rozczarowało go też, że policja nie wzięła wystarczającego zapasu paliwa. Alexandrę i mnie położono z przodu, jej ranną nogę przewieszono przez

burtę, a ja miałem trzymać ją nieruchomo podczas przeprawy na drugi brzeg. Nie było to takie proste, ponieważ wokół wyspy zaroiło się od łodzi, które wzburzyły wody fiordu.

Wyskoczyłem na małą plażę tuż przy nabrzeżu, przy którym zacumowano MS „Thorbjorna". Zimna woda uderzyła o moje nogi. Na lądzie stało kilkudziesięciu ratowników medycznych. Na wzgórzu rozłożono nosze, lecz używano tylko niektórych z nich. Gdzie byli wszyscy pozostali? Nie żyli? Zdążyli w porę uciec? Sądząc po zaangażowaniu sanitariuszy, przybycie ich wszystkich tutaj pozostawało jedynie kwestią czasu. Panowała nerwowa atmosfera. Personel medyczny biegał między tymi, którzy dotarli jako pierwsi. Przekazywano sobie wiadomości, wydawano polecenia. A w tle ciągle rozbrzmiewało wycie syren.

Do brzegu ustawiła się kolejka łodzi, więc musieliśmy się spieszyć. Alexandrę wnieśli kapitan i członek załogi ratowniczej na lądzie. Trzymałem jej nogę, dopóki rannej nie ułożono na noszach. Chcieli, żebym położył się na noszach obok, ale czułem, że nie powinienem.

- Mogę iść - powiedziałem.

Najpierw wyjąłem komórkę i zrobiłem dwa zdjęcia sanitariuszy. Jedno z nich wrzuciłem na Facebooka. Z powodu zawilgocenia telefonu na fotografii nie dało się kogokolwiek rozróżnić, obraz przypominał akwarelę w odcieniach żółci, czerwieni i błękitu, jednak w ten sposób mogłem najskuteczniej przekazać, co leży mi na sercu. Że jestem uratowany. Wyżej na wzgórzu stała jakaś dziewczyna, gapiąc się na plażę i rój noszy. Nie mogła przestać krzyczeć.

W drodze na nabrzeże zatrzymał mnie ratownik medyczny. Zauważył ranę na moim ramieniu i chciał osłuchać mi płuca.

- Możesz normalnie oddychać? - zapytał.

Skinąłem głową.

- Zrób jak najgłębszy wdech.

Zaczerpnąłem powietrza, po czym wypuściłem je z płuc.

To musiało uspokoić ratownika, bo pozwolił mi iść dalej. Na krawędzi nabrzeża siedział samotny chłopak z kocem zarzuconym na ramiona. Kołysał się w przód i w tył. Próbowałem z nim porozmawiać, ale nie odpowiadał. Miał bladą, zmęczoną twarz. Wzrok utkwił w wyspie.

- Chodź - pociągnąłem go za ramię.

Wstał bez słowa. Razem przeszliśmy po stromym, żwirowym wzgórzu do głównej drogi. Po raz pierwszy zobaczyłem, ile przyjechało służb ratunkowych. Musiało tam stać co najmniej pięćdziesiąt karetek. Cała ulica i teren były skąpane w migotliwym, niebieskim świetle. Dołączyliśmy do grupy ocalonych bez obrażeń, którzy stali wzdłuż drogi z kocami na ramionach. Większość miała bose stopy i krwawiące otarcia na kończynach. Jeden z nich, chłopak z informacji, podszedł do mnie i mnie objął. Gdy odwzajemniłem uścisk, oparł mi głowę na piersi i zaniósł się szlochem. Staliśmy tak, dopóki jakaś ratowniczka uprzejmie, lecz stanowczo nie chwyciła mnie za ramię.

Nie chciałem jechać. Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Co widzieli inni? Co tak naprawdę się tam stało? Kto spośród osób, które zdążyłem poznać przez ostatnie dni, przeżył? A kto zginął?

Na pewno istniały jakieś zadania do wykonania, coś do zrobienia, żeby nie musieć oceniać tego mroku. Co stanie się w chwili, gdy znów się położę, zostanę ofiarą? Ta myśl przerażała mnie na śmierć.

Otwarto drzwi karetki i wyciągnięto łóżko. Wyścielano je folią bąbelkową i poproszono, bym się

położył. Gdy zrobiłem, jak mi kazano, przykryto mnie folią i kołdrą, po czym wsunięto do środka. Zatrzasnęły się drzwi, zapanowała cisza. Pierwszy raz od dłuższego czasu słyszałem własne myśli.

- Teraz odwieziemy cię do szpitala - poinformowała ratowniczka.

SZPITAL

Od zejścia na ląd na Ut0yi 22 lipca siedemnastej piętnaście do zatrzymania przez jednostkę specjalną policji w lasku na tyłach świetlicy około osiemnastej trzydzieści dwie sprawca zabił sześćdziesiąt osiem osób. Kolejna zmarła w ciągu następnych godzin. Wielu spośród sześćdziesięciu pięciu rannych obozowiczów wysłano do szpitala rejonu Ringerike w Honefoss, położonego niecałe dwadzieścia kilometrów od wyspy. Tam kierownictwo ogłosiło tak zwany czerwony alarm, natychmiast wezwano wszystkich pracowników przebywających w okolicy. Jak mi powiedziano, ponieważ od zarejestrowania pierwszych informacji o strzelaninie do odebrania rannych z wyspy minęła przeszło godzina, tłum pielęgniarek i lekarzy czekał na pierwszych pacjentów ponad pół godziny. Do ich pojawienia się członkowie personelu siedzieli w ci-

szy w pokojach socjalnych. Mogli jedynie wyobrażać sobie, co ich czeka. Wtedy na raty przywieziono poszkodowanych z ranami postrzałowymi, które wcześniej widzieli jedynie nieliczni pracownicy szpitala.

Z każdym przybywającym do kliniki młodym pacjentem coraz bardziej widoczny stawał się rozmiar tragedii. Przywożono ich w tempie i w ilościach, które uniemożliwiały imienną rejestrację. Zamiast tego przydzielano im numer i notowano płeć, po czym wwożono ich w głąb korytarzy. Pracownicy szpitala, którzy jeszcze niecałą godzinę wcześniej planowali kolacje przy czerwonym winie i wieczór przed telewizorem, nagle znaleźli się na linii frontu największej katastrofy, jaka przydarzyła się w Norwegii od czasu drugiej wojny światowej.

Początkowo między wyspą a szpitalem kursowało sześć helikopterów pogotowia ratunkowego z lekarzami na pokładzie. Dźwięk wirników stale rozbrzmiewał nad szpitalem. Któryś z nich zawsze leciał w jedną lub w drugą stronę. Cały czas zbierały z wyspy nowych rannych, których systematycznie znajdywano. Po ocenie stanu w Ringerike najciężej poszkodowanych przewożono dalej do szpitala Ulleval w Oslo.

Ze szpitalnych okien miałem widok na lądowisko. Na mrugające światełka wyłaniające się z gęstych chmur. Przy każdej przelatującej maszynie myślałem o moich przyjaciołach, którzy leżeli we wnętrzach śmigłowców, walcząc o życie.

Z początku nikt nie potrafił stwierdzić z pewnością, czy za masakrę odpowiada jeden człowiek czy kilku. Chociaż zrobiono wszystko, abym w szpitalu czuł się bezpiecznie, trudno było mi pozbyć się lęku, że atak może się powtórzyć w nowej, niespodziewanej formie. Uderzyć mogli ludzie sprzysiężeni z fałszywym policjantem albo jego sympatycy. Czy strzały, które słyszałem od strony lądu, faktycznie były echem? A bomba, która wybuchła w Oslo parę godzin wcześniej? Jak można było zrobić coś takiego w pojedynkę?

Karetka jechała na sygnale, z migającym kogutem. Gdy dotarła do szpitala, na parkingu w półkolu stało około czterdziestu pielęgniarek i lekarzy. Cztery osoby podeszły i zaczęły mnie badać. Od momentu, gdy nosze opuściły ambulans, nikt nie miał wątpliwości, co należy robić. Nikt nie przeszkadzał. Żadnych zbędnych przerw czy dyskusji. Nikt nie marnował czasu, by cokolwiek zapisać.

- Marznę - powiedziałem.

W karetce owinięto mnie kołdrami i kocami, ale chłód nie chciał opuścić ciała.

Pielęgniarki założyły mi opaskę na nadgarstek i wtoczyły łóżko na izbę przyjęć. Tam czekał lekarz, który ponownie zbadał ranę na ramieniu. Zapytałem, czy ma ładowarkę do komórki. Mój telefon rozładował się podczas jazdy karetką, a teraz zaczęło mi się spieszyć, aby zadzwonić do matki i powiedzieć jej, że żyję. Lekarz przyniósł jeden z bezprzewodowych telefonów, które były na oddziale.

- Tylko krótko - polecił, podając mi aparat. - Zadzwoń, żeby usłyszała twój głos. Powiedz, że wszystko w porządku. Nie martw jej za bardzo, twój stan jest stabilny.

Odebrała od razu.

- Cześć, mamo, to twój syn - powiedziałem. - Może słyszałaś?

- Że zostałeś postrzelony? - zapytała.

Nie należy do osób, które kryją się z uczuciami, lecz teraz słyszałem, że robi, co może, by mnie nie denerwować.

- Tylko powierzchownie. Jestem w szpitalu. Wszystko w porządku.

- Ane zadzwoniła do mnie, przekazała, co napisałeś - wyjaśniła.

Przyjaciółka mojej siostry zobaczyła na Facebooku wpis o tym, że jestem ranny, więc zadzwoniła do mamy. Na szczęście usłyszała też o moim zdjęciu zrobionym ekipie ratunkowej, ale wcale jej to nie uspokoiło.

- Adrian, przylecę pierwszym samolotem...

- Nie, nie. Nie rób tego. Leżę w szpitalu. Nic nie możesz teraz zrobić.

To, jak zareaguje na wiadomość o strzelaninie na wyspie, było jedną z rzeczy, które najbardziej trapiły mnie podczas jazdy ambulansem do szpitala, lecz zdawało się, że przyjęła wieści spokojnie. Pielęgniarka dała sygnał, że musimy kontynuować badanie. Zanim się rozłączyłem, mama obiecała mi, że zostanie w Polsce i obdzwoni resztę rodziny.

- Nie ma tu wlotu po kuli - stwierdził lekarz. - Tylko rozerwana tkanka. Masz jakąś teorię na temat tego, z jakiej broni do ciebie strzelono?

Zabójca miał pistolet i karabin. Po wielu latach chodzenia na polowania z ojcem wiedziałem, jak działa na zwierzę strzał z karabinu, jednak teraz to mnie postrzelono. Nie miałem pojęcia.

Dużo czasu zajęło im rozgryzienie tej sprawy. Jak zostałem postrzelony? Jaka broń wywołuje takie obrażenia? Ordynator oddziału pomimo swoich dwudziestu trzech lat doświadczenia w pracy chirurga nigdy nie widział czegoś podobnego. Pocisk wysokoprędkościowy - wyjaśnili - po zetknięciu z ciałem spala się i zabija tkankę. Upewnili się, że mogę normalnie ruszać ręką i palcami, a w płucach nie ma śladu krwi lub płynu, jednak dziwiła ich duża ilość martwej tkanki wokół rany. Z początku myśleli, że to draśnięcie.

Na pierwszych zdjęciach rentgenowskich uraz okazał się bardziej skomplikowany. Kula, która zdaniem lekarzy została na wyspie, rozpadła się na ponad siedemdziesiąt odłamków, które rozproszyły się po tkance mięśniowej. Zdaniem ordynatora mogliśmy mieć do czynienia z rodzajem amunicji, która rozpada się w chwili kontaktu z powierzchnią. Później wyjaśnił, że podobnego rodzaju pocisków używają strażnicy na pokładach samolotów. Założeniem jest, aby nie przebijały celu na wylot, powodując szkody w otoczeniu. Za to trafiwszy w cel, wywołują w nim spustoszenie.

W lustrze rana przypominała względnie nieskomplikowane rozdarcie skóry. Na zdjęciu rentgenowskim

wyglądała jak zwiędnięty mlecz - biały wieniec promieni na ciemnym tle folii zbiegał się w kręgu drobnych kropek. Dobrze trafił. To cud, że nie skończyło się gorzej. Gdyby pocisk wbił się w ciało pod prostszym kątem, pewnie musiano by amputować całą rękę.

Później stało się jasne, że zabójca najprawdopodobniej celował w skroń. Przez przykrywającą mnie częściowo kurtkę przeciwdeszczową miał kłopot, aby rozróżnić, gdzie kończy się głowa, a gdzie zaczyna bark, więc kula przeszła ledwie centymetr od karku, nim wbiła się w mięśnie ramienia.

Jeśli leżąc na kamieniu i czekając na pomoc, która nie nadchodziła, czułem się opuszczony i zapomniany, to moje zetknięcie z ambulansem i szpitalem Ringerike stanowiło zmianę o sto osiemdziesiąt stopni. Jakąż czułem wdzięczność jako obywatel norweskiego państwa opiekuńczego!

Od mojego przybycia na izbę przyjęć aż do chwili jej opuszczenia przy moim łóżku ciągle stała pielęgniarka. Cierpliwie słuchała, gdy ja wyrzucałem z siebie wrażenia. W razie potrzeby podawała mi dawkę morfiny.

Po trzech godzinach wypierania katastrofy ze świadomości po raz pierwszy pojąłem całą jej skalę. Wzór

moich reakcji był nieprzewidywalny. W jednej chwili potrafiłem spokojnie leżeć, relacjonując jej najokropniejsze sceny. W następnej mogłem bez ostrzeżenia zanieść się płaczem. Wszystko naraz. To, że przez pierwsze godziny wytrwale przy mnie siedziała, że wytrzymała, dało mi poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebne, by znieść ten pierwszy okres.

Ona również odkryła, dlaczego jest mi zimno. W karetce rozebrano mnie do naga. Rozcięto mi bluzę, zdjęto spodnie i majtki. Od godziny leżałem na izbie przyjęć, lecz nadal tak samo marzłem.

Pielęgniarka podniosła kołdrę. Na moich stopach znalazła dwie przemoczone skarpetki.

„RS KATASTROFA MĘŻCZYZNA 04" - brzmiał napis na opasce, którą założono mi na nadgarstek na parkingu. Byłem czwartym mężczyzną z Utøyi, którego przywieziono do Ringerike. Nie miałem pojęcia, ile numerków wydano po mnie.

W Sundvollen, hotelu i ośrodku konferencyjnym położonym na stałym lądzie pięć kilometrów na północ od wyspy, zakwaterowano AUF-owców bez obrażeń fizycznych wraz z rodzinami. Tam pomagali im psychiatrzy od interwencji kryzysowych i personel medyczny. Nawzajem wspierali się i pocieszali.

Z czasem zyskali pewne rozeznanie, komu udało się ujść z wyspy cało, a kogo nadal brakowało.

O świecie zewnętrznym wiedziałem jedynie tyle, co zdołałem zobaczyć, zanim wciągnięto mnie do karetki. Po godzinie zostałem przeniesiony na oddział obserwacyjny znajdujący się na drugim piętrze głównego skrzydła szpitala. W pokoju miałem dostęp do Internetu i telewizji przez ekran dotykowy podłączony do łóżka. Na początku nie miałem pojęcia, od czego zacząć. Czy wejść na Facebooka, by powiadomić przyjaciół, że żyję? Albo obejrzeć wiadomości, by poznać najświeższe informacje? Pierwsze serwisy NRK mówiły o co najmniej czterech ofiarach śmiertelnych.

Na podstawie tego, co widziałem, obawiałem się jednak, że ofiar mogło być znacznie więcej.

Gdy nie mogąc się uspokoić, przełączałem kanały telewizyjne w poszukiwaniu nowych informacji, do pokoju wszedł policjant w towarzystwie pielęgniarki. Chciał, żebym poszedł z nim do pomieszczenia po drugiej stronie korytarza. Tam spotkałem kolejnych czterech funkcjonariuszy. Stali pod ścianą w pokoju podobnym do mojego. Przy łóżku stały dwie pielęgniarki, a pod kołdrą znajdował się chłopak, ob-

cokraj owiec. Leżał nieruchomo na boku z twarzą zwróconą do drzwi.

- Wiesz, kto to? - zapytał policjant.

Podszedłem do chłopaka, kucnąłem obok i ująłem jego dłoń. Nie dało się nawiązać z nim kontaktu. Patrzył, jakby mnie w ogóle nie widział, wbijając wzrok w ścianę.

- Tak - odparłem. - Wiem.

Nie był osobą, z którą często przebywałem, ale w którymś momencie musiałem usłyszeć, jak się nazywa. Nazwiska nie pamiętałem, lecz podałem im imię, co wystarczyło, by policjanci zaczęli szukać go w rejestrach. Dopiero później zorientowałem się, że chcieli wyłączyć go ze sprawy. Innymi słowy, nie wykluczali, że sprawców mogło być kilku, ani tego, że któryś z nich znajduje się w szpitalu, udając ofiarę.

Nim odprowadzono mnie do pokoju, trzymałem go chwilę za rękę. Był zupełnie nieobecny.

Pierwszej nocy tyle samo czasu co w łóżku spędziłem na balkonie. Z galeryjki wychodzącej z pokoju socjalnego słychać było deszcz padający w półmroku na korony sosen. Po drugiej stronie budynku bezustannie rozbrzmiewał dźwięk helikopterów i syren. Właściwie nie wolno było tam palić, ale z powodu

dużej liczby dziennikarzy zebranych pod głównym wejściem jedna z pielęgniarek udzieliła mi specjalnego pozwolenia. Nawet załatwiła mi papierosa od jakiejś koleżanki.

Otrzymałem pojedynczy pokój obserwacyjny. W dzisiejszych czasach każdy pacjent w Norwegii by sobie tego życzył, ale dla mnie brak towarzystwa to była ostatnia rzecz, na jaką miałem ochotę po samotnej godzinie spędzonej na kamieniu. Na balkonie i w pokoju socjalnym stale siedziały pielęgniarki, które chciały wysłuchać mojej opowieści.

Jedna pozwoliła mi użyć w swoim telefonie mojej karty SIM. Po włączeniu aparat zalały wiadomości. Od zmartwionych kolegów z pracy i przyjaciół, którzy chcieli wiedzieć, jak się miewam. Jedną z nich wysłał Svein. Rok wcześniej dużo przebywaliśmy razem. Łączyło nas coś wyjątkowego. Ale później oddaliliśmy się od siebie. Na kilka dni przed rozpoczęciem obozu na wyspie Utøya znów zaczął do mnie pisać coraz częściej, a ja udzielałem mu wymijających, choć grzecznych odpowiedzi. Czy mogłem na nim polegać? Czy był przy mnie, kiedy tego potrzebowałem? Wiadomość, którą wysłał tego wieczoru, składała się z dwóch słów i nie pozostawiała wiele wątpliwości:

„Już jadę”.

Pierwszego wieczoru szpital był w zasadzie oddzielony od reszty świata. Większość osób dzwoniących, by zapytać, czy mogą odwiedzić rodzinę lub przyjaciół, informowano, aby zostali w domu. Wyjaśniłem pielęgniarkom, że właśnie jedzie do mnie przyjaciel, którego obecność bardzo by mi pomogła. W sytuacji kryzysowej może nie każdy potrzebuje odwiedzin rozhisteryzowanych rodziców, jednak spokojny, wspierający przyjaciel to co innego. Opanowany, dobroduszny typ, którego rzadko coś wyprowadza z równowagi. Taki właśnie był Svein.

Wracał samochodem ze swoją siostrą do domu w Skien, gdy w wiadomościach usłyszał o strzelaninie na wyspie. O tym, że dziennik „Varden” skontaktował się z sekretarzem okręgowym AUF-u w Telemarku, który poinformował o co najmniej czterech zabitych. Wysadziwszy siostrę, Svein pojechał prosto do Oslo. Bez GPS-u czy jakiegokolwiek pojęcia o tym, gdzie leży Utøya, wylądował w Lillestrom u dwóch przyjaciółek. Kiedy dziewczyny wreszcie pomogły mu odnaleźć drogę, wpadli w sieć ulic jednokierunkowych w centrum Oslo, aż wreszcie wyjechali na trasę wiodącą w stronę fiordu Tyri. Tam napotkali

blokady policyjne i kazano im wracać, ale nawet to nie powstrzymało Sveina. Gdy pielęgniarka zadzwoniła, aby dowiedzieć się, gdzie jest, zdążył zawrócić, planując objazd przez Drammen.

W ciągu nocy tętno szpitala uspokoiło się. Najciężej ranni zostali przetransportowani śmigłowcami do Ulleval. Pozostałych zbadano i pozostawiono na obserwacji do czasu operacji, które miały się odbyć następnego dnia. Przy wejściu do szpitala zostali jedynie najwytrwalsi dziennikarze.

Może to stanowi wyjaśnienie, dlaczego Svein jako jeden z niewielu bliskich ofiar zdołał wejść do środka w charakterze odwiedzającego. O drugiej wreszcie stanął w drzwiach. Miał łagodny wzrok, a na jego ustach pojawił się ostrożny uśmiech. Gdzieś w głębi mnie zaczęło narastać napięcie.

Svein był niezastąpiony podczas godzin, które spędził razem ze mną w szpitalu. Przywiózł paczkę papierosów i ładowarkę do komórki. Siedział w moim pokoju, słuchając, wywoził mnie na wózku inwalidzkim i wzywał pielęgniarkę, gdy potrzebowałem większej dawki morfiny. Pomiędzy przerwami na papierosa siedzieliśmy razem w pokoju socjalnym i oglądaliśmy wiadomości.

Gdy kilka godzin później musiał jechać, zapewniono nas, że może wrócić następnego dnia. Miał dostać łóżko w moim pokoju, aby mógł spać u mnie przez kolejne noce.

Na Facebooku dziesiątki komentarzy zalały moją ścianę i zdjęcie ratowników. Jeden z nich napisała Ewelina, żona mojego brata, Radka. „Do wszystkich przyjaciół Adriana. Adrian żyje. Został postrzelony w ramię" - napisała.

Wcześniej poinformowałem na Twitterze: „Zostałem postrzelony na Utøyi. Wielu zabitych". Potem jednak nie podjąłem wątku, nie napisałem, że jestem cały i zdrowy. Gdy otworzyłem aplikację Twittera na telefonie, zobaczyłem, że próbowała się ze mną skontaktować kobieta ze Sky News. „Zadzwoń, kiedy tylko chcesz" - napisała. Nie znałem różnicy między osobistymi a publicznymi wiadomościami na Twitterze, więc wysyłając jej mój numer komórki, opublikowałem go w miejscu widocznym dla wszystkich.

Później zaczął dzwonić telefon. Najpierw sporadycznie, potem bez przerwy. Mój post był pomyłką, ale po zamieszczeniu go niczego nie poprawiłem. To, czego byłem świadkiem, na wyspie, wydawało mi się tak okropne i mroczne, że musiałem przekazać to

innym. Ludzie muszą dowiedzieć się, co przeżyłem. Co widziałem i słyszałem.

Najpierw odezwało się CNN. Kiedy kobieta na drugim końcu linii przedstawiła się, mówiąc, skąd dzwoni, przez ułamek sekundy jakbym zobaczył siebie i swój kraj z boku. Boże, to się naprawdę stało.

- Nie chcę się narzucać - zaczęła. - Od ciebie zależy, czy weźmiesz w tym udział.

Zależało jej na podkreśleniu, że moja relacja ma być dobrowolna.

- W porządku - powiedziałem. Po jakimś czasie przełączyła mnie do studia wiadomości, w którym rozmowę prowadzili kobieta i mężczyzna.

- Adrian Pracoń mówi dla nas ze szpitala w Norwegii - przedstawiła mnie kobieta. - Jak się teraz czujesz?

- Lepiej. Lekarze i pielęgniarki dobrze się tu mną zajmują. Teraz jednak zaczyna do mnie docierać, co tak naprawdę się stało. Widząc rosnącą liczbę ofiar, coraz bardziej boję się dowiedzieć, kto zginął.

- Tak. Na pewno trudno ci to pojąć. Jesteś w szoku, zostałeś ranny. Wróćmy może do momentu, gdy ten dramat się zaczął. Z tego, co słyszeliśmy, na wyspę przypłynął mężczyzna w mundurze policyjnym, który

zaczął strzelać. Czy możesz pomóc nam zrozumieć, jak do tego doszło? - zapytała.

- Mogę zacząć od bomby w Oslo - odpowiedziałem. Zacząłem mówić. O tym, jak wszyscy zebraliśmy się w głównej sali. O policjancie, który wcale nim nie był. O ucieczce na południowy kraniec wyspy i przeprawie wpław, która okazała się zbyt długa. Słowa płynęły same. Wszystkie wywiady, których udzieliłem w ciągu następnych dni, stanowiły wariacje na temat tej rozmowy.

Byłem chyba pierwszą osobą, do której dotarła stacja telewizyjna, bo chcieli wiedzieć wszystko. Gdy zapytali, dlaczego moim zdaniem mnie oszczędził, powiedziałem:

- Chyba nie zadowalało go strzelanie do pojedynczych osób. Wolał celować w grupy.

Najpierw mnie oszczędził, a potem wrócił, by zamordować dziesiątki moich kolegów i koleżanek. Jak inaczej dało się to wyjaśnić? Gdy powiedziałem im o tym, jak wrócił na cypel, na drugim końcu linii zapanowała cisza.

- Boże drogi... - odezwała się prezenterka. - Więc żyjesz tylko dlatego, że udawałeś martwego?

- Tak.

- Nie mogę...

Szukała odpowiednich słów.

- Czy wśród osób, które zginęły w pobliżu ciebie, znajdowali się twoi przyjaciele?

- W pewien sposób wszyscy byli moimi przyjaciółmi - odpowiedziałem. - Było nas tyłu, razem popieraliśmy pewną sprawę. A teraz ich zabito. Nie rozumiem dlaczego.

Pielęgniarki dały mi tego wieczoru podwójną dawkę tabletek nasennych i surowo przykazały odpoczynek, jednak moje ciało stawiało opór. Dopóki działałem, miałem jakieś zadanie, funkcję, mogłem utrzymać wszystko na dystans, lecz kiedy kładłem się na łóżku, czułem, że zaraz oszaleję. Po wywiadzie dla CNN udzieliłem jeszcze dwóch po angielsku. Poza tym dzwonili dziennikarze, którzy chcieli spotkać się ze mną w sobotę w szpitalu. Gdy uspokoiła się pierwsza fala telefonów, nastała już siódma rano.

Czekając, aż lek nasenny zacznie działać, otrzymałem wiadomość od Sveina. Miał w zwyczaju wysyłać esemesy zaraz po wyjściu. Jak gdyby zapomniał czegoś powiedzieć.

„Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku” - napisał.

Ilu zabitych wymieniałem w wywiadach? W powstałym chaosie trudno było się właściwie zorientować w ich ilości, a policja w swoich wypowiedziach uparcie obstawała przy liczbie potwierdzonych ofiar. Ja sam, by niepotrzebnie nie straszyć ludzi, wolałem się nie odzywać. Powiedziałem o co najmniej czterech zabitych, lecz było ich oczywiście o wiele więcej.

Poza Sveinem i rodziną miałem jeszcze kontakt telefoniczny ze Sveinem Gustafem, który chciał przyjść z wizytą, ale dowiedział się, że krewni i znajomi nie mogą wchodzić do szpitala. Gdy zapytałem go, czy wie, ilu reprezentantów Telemarku zostało przy życiu, nie potrafił mi odpowiedzieć. Kiedy wybuchła panika, na wyspie znajdowało się od sześciuset pięćdziesięciu do siedmiuset osób. Sytuacja nadal była zbyt chaotyczna, aby wyciągać jakiekolwiek wnioski. Zanim zasnąłem, w NRK mówiono o dziesięciu zabitych. Dawało to już pewne wyobrażenie o skali tragedii, a jednak nie wystarczyło, by przygotować mnie na to, co zastałem po przebudzeniu dwie godziny później.

W ciągu doby po wybuchu bomby i strzałach na wyspie Utøya policja co godzinę zwoływała konferencje prasowe. W telewizji pokazano wicekomendanta policji w Oslo Rogera Andresena obok szefa sztabu

Johana Fredriksena na schodach prowadzących do stołecznej komendy.

- Doświadczyliśmy niesamowicie tragicznego zdarzenia, które wystawiło na poważną próbę norweską policję i społeczeństwo - powiedział wicekomendant. Błądził spojrzeniem. Szukał słów, próbując mówić o nieprzejrzystej sytuacji, o wkładzie policji i wrażeniach z miejsc zbrodni. Wydawało się, że celowo zwleka z ogłoszeniem tego, co tak naprawdę miał powiedzieć: ile osób straciło życie.

- Na chwilę obecną stwierdziliśmy osiemdziesięciu czterech zabitych na Utøyi. I siedmiu w Oslo.

Osiemdziesięciu czterech.

Serce podskoczyło mi w piersi.

- Sprawcą - ciągnął wicekomendant - o którym wielu z państwa nas poinformowało, jest etniczny Norweg w wieku trzydziestu dwóch lat.

A więc naprawdę był sam. Osiemdziesięciu czterech zabitych przyjaciół, siedem ofiar w dzielnicy rządowej, a za tym wszystkim jeden człowiek. Nie mogłem tego wytrzymać.

Przez resztę soboty udzielałem wywiadów zagranicznym stacjom telewizyjnym i radiowym - BBC, Sky News, NBC, kanadyjskiej i australijskiej telewi-

zji, hiszpańskiemu radiu. Nie zapisując, kto dzwonił i kiedy ma się znów skontaktować, na ślepo przyjmowałem wszystkie zapytania. Otrzymałem zadanie, mogłem coś robić.

Miałem opowiedzieć swoją historię z Utøyi.

Czułem się, jakbym wszedł do konfesjonału. Opowiadaj - mówili. A ja opowiadałem.

Svein, który wrócił wczesnym przedpołudniem, jak tylko potrafił, pomagał mi zachować kontrolę nad umówionymi rozmowami. Tempo, jakie sobie narzuciłem, martwiło go, lecz chyba prędko zrozumiał, że to część wzorca reakcji. Raz - powiedział mi później - musiał obudzić mnie w środku wywiadu. Zasnąłem z telefonem wciśniętym między policzek a ramię.

Tylko nieliczni spośród tych, z którymi rozmawiałem w ciągu pierwszych dni, zdołali zachować swój zwykły zawodowy dystans. Wielu otwarcie przyznawało się do żałoby. Dziennikarz z portalu dla homoseksualistów Gaysir zakończył swój wywiad, wręczając mi wisiorek. Był to srebrny krucyfiks wysadzany wielobarwnymi kamieniami.

- Myślę, że to będzie dla ciebie znaczyć dużo więcej niż kiedykolwiek dla mnie - powiedział.

Gdy tego samego dnia TV2 zjawiła się w moim pokoju jako pierwszy norweski kanał informacyjny, okazało się, że dziennikarz jest byłym sekretarzem okręgowym AUF-u w Telemarku.

- Zacznij, kiedy chcesz i od czego chcesz, i przerwij, jeśli nie dasz już rady - przykazał, gdy ustawili kamerę, a on sam usiadł przy moim łóżku.

Trwało to godzinę. Miejsca, w których rozgrywała się akcja przerażającej opowieści o 22 lipca, dziennikarz sam odwiedzał każdego lata. Miał z nich idylliczne wspomnienia. Wiedział dokładnie, jak to jest uczestniczyć w letnim obozie na Utøyi. Im dłużej mówiłem, tym większe piętno wywierały na nim moje słowa. Gdy powiedziałem o pierwszych strzałach, zaszkliły mu się oczy. Kiedy dotarłem do momentu, gdy zabójca wrócił na cypel, zaczął płakać.

Mam wrażenie, jakbym nadal pamiętał każdą z tych rozmów. Wciąż na nowo pojawiały się kamień, strzały, krzyki i uczucie opuszczenia. A za każdym razem, gdy tam wracałem, jakby odrobinę łatwiej było mi trzymać uczucia na wodzy.

Podczas pierwszych godzin na izbie przyjęć płacz zalewał mnie falami w najmniej oczekiwanych momentach. Jednak w czasie spędzonym na obserwacji

nie uroniłem ani jednej łzy. Svein powiedział mi później, że wydawałem się zupełnie niedotknięty tym, co się stało, że mówiłem o wydarzeniach jak o scenach opowieści, w której sam nie brałem udziału. Kilka razy przytrafiło mi się w życiu, że ktoś podeptał moje uczucia, więc miałem tendencję do oszczędzania siebie, do wypierania własnych reakcji, by nie stracić twarzy przed innymi. Był to z jednej strony mechanizm obronny, a z drugiej - zdrada samego siebie. Może Sveinowi wydawałem się spokojny, lecz tak naprawdę aż we mnie wrzało.

Później obejrzałem kilka spośród tych wywiadów, chcąc dowiedzieć się, czy moje wspomnienia z wydarzeń na wyspie Utøya zmieniły się od tego czasu. Opowiadając wiele razy tę samą historię, w końcu traci się pewność, co jest kopią wcześniejszych wypowiedzi, a co zapamiętało się naprawdę. Jednak chociaż umknęło mi kilka najmniej spodziewanych szczegółów, moje wspomnienia z 22 lipca zasadniczo pozostały niezmienione.

W kolejnych tygodniach i miesiącach miał się za to zmienić mój stosunek do zdarzenia, do decyzji zabójcy i mimowolnej więzi, jaka między nami powstała.

DZIEŃ DRUGI

Prawie dwa dni trwało, nim minęła pierwsza fala szoku. Sobota upłynęła na orientowaniu się w rozmiarze chaosu, który pozostawił po sobie zabójca. Z powodu potężnych szkód w dzielnicy rządowej i dużej liczby rannych przewiezionych do szpitali identyfikacja zaginionych okazała się żmudnym i skomplikowanym zadaniem. Kilku członków rządu, w tym premier Jens Stoltenberg, odwiedziło Sundvollen, aby okazać wsparcie ocalonym i bliskim, którzy zebrali się tam w oczekiwaniu na więcej informacji o drogich im osobach.

W niedzielę nadeszły smutek i refleksja. W całej Norwegii flagi opuszczono do połowy masztu. Świątynie w kraju, zarówno kościoły, jak i meczety, wypełniły się pogrążonymi w żałobie ludźmi. W katedrze w Oslo cały kościół odśpiewał wiersz *Do młodzieży*

poety Nordahla Griega. Ten dotyczący hiszpańskiej wojny domowej tekst z 1936 roku, który przez pięćdziesiąt lat wydawał się muzealnym eksponatem, nagle nabrał dla mnie nowego, głębszego znaczenia, kiedy leżałem w szpitalu, oglądając relację telewizyjną z Oslo.

Tak się przed gwałtem chroń,
oto twój cios:
wiarę w cnotę się broń,
w człowieczy łos.

Bacząc na przyszły czas,
znajdź ją i ratuj,
gdy trzeba, giń - lecz:
krzep ją i hartuj!

W pierwszym rzędzie w katedrze siedział zatroskany Eskil Pedersen wraz z Tonje Brenną i resztą kierownictwa AUF-u. Po drugiej stronie przejścia łzy roniła para królewska. Z mównicy brzmiał głos Jensa Stoltenberga.

- Dziś nadszedł czas żałoby. Dziś powinniśmy na chwilę się zatrzymać - powiedział.

Później wymienił dwie osoby z niewielkiej grupy tych, których śmierć była wówczas potwierdzona. Dwudziestojednoletniego Torego Eikelanda, przewodniczącego AUF-u w Hordaland, jednego z największych politycznych talentów swojego pokolenia. I Monicę Bosei, „Matkę Utøyę", która zadawszy krytyczne pytania fałszywemu policjantowi podczas przeprawy na wyspę, jako jedna z pierwszych straciła życie w masakrze.

- To dwoje z tych, których straciliśmy - rzekł Stoltenberg.

- Wielu straciliśmy na Utøyi i w dzielnicy rządowej. Wkrótce poznamy nazwiska i twarze wszystkich. Wtedy rozmiar zła ujawni się w całym swym okrucieństwie. Będzie to nowa próba, ale i ją przetrwamy - ciągnął, po czym odwołał się znów do hasła, które miało być mantrą premiera, AUF-u i całej Norwegii w okresie po 22 lipca.

- Naszą reakcją jest więcej demokracji, więcej otwartości i więcej humanitarności.

A podczas jego przemowy na zewnątrz rosło morze kwiatów.

Doznaliśmy najgorszego ataku na norweską wspólnotę od czasu wojny i wspólnotą odpowiedzieliśmy

na atak. Nie wściekłością czy nienawiścią, lecz pozornie nieskończonym strumieniem współczucia, który dotarł także do mnie, do szpitala Ringerike.

W sobotę i niedzielę przychodziły coraz to nowe esemesy. Na Facebooku ludzie z całego świata chcieli zostać moimi przyjaciółmi i nie było kwadransa, by ktoś nie wrzucił na moją ścianę jakiegoś misia czy kotka. Dla osoby, która właśnie przeżyła najgorszy koszmar w swoim życiu, cała ta uwaga była jak jedno długie, grupowe przytulenie.

Przed przewiezieniem do Skien miałem być operowany. Rozcięto wlot kuli, by wydobyć z ramienia pięć czy sześć odłamków. Później usunięto martwą tkankę i opatrzono ranę kompresami, które miały tam zostać do następnej operacji, czekającej mnie kilka dni później w Skien. Svein spędził noc z soboty na niedzielę w łóżku, które pielęgniarka wstawiła do mojego pokoju. Ponieważ dysponował samochodem i był w szpitalu, miał mnie niedługo odwieźć do domu.

Podczas gdy król Harald i królowa Sonja pojawili się w katedrze, para książęca wzięła udział w mszy żałobnej w kościele Norderhov, niedaleko szpitala. Po jej zakończeniu oboje wyrazili szczególne życzenie, by porozmawiać z niektórymi z ocalonych. Wcześ-

niej tego samego dnia szpital odwiedziła też minister zdrowia Anne-Grethe Strom-Erichsen. Weszła do mojego pokoju w towarzystwie tłumu dziennikarzy i zatrzymała się przy łóżku. Patrzyła na mnie bez słów. Tylko płakała.

- To okrutne - powiedziała wreszcie. - Nie rozumiem tego.

Próbowałem odpowiedzieć, lecz nie dałem rady. Posłała mi pełne współczucia spojrzenie i przeszła do następnego pokoju.

Dlatego gdy dowiedziałem się, że tego samego dnia miała przyjechać para książęca, nie chciałem obecności prasy. Mieli przybyć o czternastej, lecz zjawili się dopiero półtorej godziny później. Kiedy weszli, w korytarzach wzmógł się ruch. Stojący pod drzwiami strażnicy i fotografowie próbowali przecisnąć się do środka. Przedstawiciel szpitala przed spotkaniem z parą książęcą podkreślił, jakie to ważne, abym powiedział im, że jestem zadowolony ze swojego leczenia. On sam chciał towarzyszyć mi w pokoju, by przybliżyć szczegóły zmagań szpitala stojącego przed groźbą likwidacji, lecz, podobnie jak dziennikarze, został odesłany na korytarz.

- Chcielibyśmy zostać sami - powiedział książę.

Gdy zamknęli za sobą drzwi, w pokoiku była tylko para książęca, Svein i ja. Siedziałem na łóżku w szlafroku i szpitalnych majtkach, które pozostawiały wyobraźni dość niewielkie pole do popisu. Jeżeli kiedykolwiek pomyślałbym, że spotkam się sam na sam z przyszłym królem i królową Norwegii, na pewno nie przypuszczałbym, że dojdzie do tego w taki sposób. Mogłem jedynie skrzyżować nogi i przykryć kolana kołdrą.

Oboje byli od stóp do głów ubrani na czarno. Mette-Marit włożyła prostą sukienkę, a Haakon garnitur. Księżna długo i ciepło mnie przytuliła. Haakon ujął oburącz moją dłoń i długo ją ściskał. Później usiedli obok Sveina na jego łóżku. Rozmawiał ze mną głównie książę. Powiedział, że jego zdaniem dobrze jest widzieć ludzi, którzy zostali przy życiu, nawet jeśli leżą w szpitalu.

- Zdecydowaliśmy się odwiedzić tych, których możemy - rzekł. - Bo chcemy z wami być.

Próbowałem pokrótce opowiedzieć im, czego doświadczyłem, lecz z każdym nowym szczegółem książę przerywał mi pytaniami. On jako pierwszy zachował się w ten sposób - nie tylko słuchał, ale też naprawdę chciał zrozumieć, co mnie spotkało.

- I co wtedy się stało? - pytał. - Co wtedy zrobiłeś? Dlaczego to zrobiłeś?

Szczególnie zainteresowało go to, dlaczego zabójca postanowił mnie oszczędzić.

- Bez wątpienia miałeś szczęście - powiedział. - Ale chyba coś się za tym kryje? Musi istnieć jakiś powód, że właśnie tobie pozwolił żyć?

Nie potrafiłem udzielić mu dobrej odpowiedzi.

Mówili o swoich przeżyciach z piątku. O tym, jak oboje nie spali do późna w nocy, chcąc wysłuchać najświeższych wiadomości. Nadal wydawali się zmęczeni. Zwłaszcza księżna. Była blada i wyglądała na strudzoną. Wiedziałem, że Trond Berntsen stał się jedną z pierwszych ofiar na wyspie, że został zastrzelony razem z Monicą zaraz po dotarciu sprawcy na brzeg, lecz nie zdawałem sobie sprawy, iż był przyrodnim bratem księżnej. Zastanawiała się, czy zaobserwowałem pierwsze strzały.

- Widziałem jedynie nadpływającą łódź - wyjaśniłem.

Przesiedzieli u mnie pół godziny. Odchodząc, serdecznie podziękowali. Popatrzyliśmy ze Sveinem po sobie. Cóż za imponująca postawa. Ileż okazywali dobroci. Przez cały czas, który spędzili w moim pokoju,

czułem się taki ważny. Bardziej niż ktokolwiek inny wywołali we mnie uczucie, że po 22 lipca przestały obowiązywać zwyczajne zasady.

KSIĄDZ

Dni po masakrze rządziły się własną logiką. Niektóre zaczynały się lekko, lecz z czasem stawały się cięższe. Inne rankiem były niemal nie do wytrzymania, ale jaśniały wraz z zapadaniem zmroku. Niekiedy dopadały mnie nagłe zmiany nastroju czasem z powodu skojarzenia, które wywoływało bolesne wspomnienie, a czasem przez ciepły uścisk, kierujący moje myśli na lepsze tory. Były też dni, w których jedynie się bałem.

Na początku nikt nie potrafił podać konkretnej daty publikacji pełnej listy ofiar. Identyfikacja zabitych była trudnym zadaniem, istniały poważne wątpliwości co do tego, kto ocalał, a kogo nadal nie odnaleziono.

Tyle było list AUF-owców przebywających na Utøyi. Każdy okręg administracyjny posiadał własną. To na

nich zapisywano na bieżąco osoby, które zgłosiły się na obóz, i odnotowywano uiszczenie opłaty. Listy te, które przesyłano do centrali AUF-u, stanowiły podstawę dwóch kolejnych list - jednej przechowywanej na wyspie, a jednej na lądzie. Tej ostatniej używano podczas rejestracji uczestników przyjeżdżających na wyspę i w celu rozróżnienia, kto zapłacił z góry, a kto miał to zrobić po przybyciu. Ponieważ rejestracja była także możliwa na miejscu, na lądzie stale dopisywano nowe nazwiska.

Poza tym kapitan Jon także miał swoją listę. Do jego zadań należała kontrola ilości przypływających i odpływających osób. Liczbę tę zapisywał w dzienniku na mostku MS „Thorbjorna". Przed każdym wypłynięciem jeden z majtków zliczał wszystkich pasażerów łodzi, a Jon dodawał liczbę do tej, która figurowała w jego dzienniku. W drodze powrotnej robili to samo, tyle że odejmowali ilość osób na pokładzie promu. W ten sposób zawsze wiedzieliśmy, ile osób aktualnie przebywa na wyspie, lecz już niekoniecznie kto, ponieważ wielu nie wymeldowywało się, schodząc na ląd.

Było oczywiste, że policjanci mieli przed sobą skomplikowane i czasochłonne zadanie. Nie tylko musieli

opierać się na listach AUF-u, ale też porównywać je z listami napływającymi z przepełnionych szpitali. Gdy praca trwała, my trzymaliśmy się nadziei, że któryś z zaginionych chowa się w jakimś szpitalu albo uciekł do lasu, gdzie nadal żyje.

Wtedy wyznaczono datę. Tydzień później miało nastąpić ujawnienie tożsamości zmarłych. W międzyczasie w miarę identyfikacji ofiar do wiadomości podawano pojedyncze nazwiska. Dwie osoby pochodziły z delegacji Telemarku.

Tego dnia padało. Był to jeden z tych dni, gdy niebo i ziemia zlewają się w jedno. Chmury wisiały tak nisko, że nie dało się zobaczyć, gdzie się zaczynają. Kościół stał koło jeziorka otoczonego z wszystkich stron przez góry i las. Gdy dotarliśmy na miejsce, był już pełen ludzi. Na trawie, między nagrobkami, wokół wejścia zebrali się ci, dla których zabrakło miejsca w środku. Ich parasole przypominały bukiet czarnych kwiatów.

Przyjechałem z Skien wraz ze Sveinem i mamą, która zwolniła się w tym celu z pracy. Po masakrze doradziłem jej, by poczekała w Polsce na swój powrotny lot. Przez to ominął ją marsz z pochodniami, który odbył się w centrum Skien. W miastach

i miasteczkach całego kraju ludzie wyszli na ulice. W poniedziałek, 25 lipca, łącznie ponad milion Norwegów okazało swoją odrazę wobec terroru. Na rynku w Skien zebrało się pięćdziesiąt osiem tysięcy ludzi. Mama czuła, że straciła okazję uczestnictwa w żałobie. Biorąc udział w pogrzebie, miała możliwość pogodzenia się z tym, co się stało.

W minionych dniach rosło we mnie coraz silniejsze i mroczniejsze uczucie winy. Jaką Norwegię widzieli ci ludzie, nim nas opuścili? I gdzie byłem ja, gdy to się działo? Zapewne głęboko w lesie, w drodze na kamień. Tyle rzeczy mogłem zrobić inaczej. Za każdym razem, gdy przed snem kładłem głowę na poduszce, na powierzchnię wypływały coraz to nowe sytuacje. Leżąc na wysepce, miałem przed sobą mnóstwo większych i mniejszych kamieni. Dlaczego ich nie podniosłem? Dlaczego nie stawiłem oporu?

Dopiero po kilku tygodniach udało mi się odsunąć te myśli. Przekonać siebie samego, że za wydarzenia na Utøyi odpowiada jedynie zabójca. Poza tym nie miałem jak sprawdzić, co by się stało, gdybym postąpił inaczej. Może zginęłoby jeszcze więcej osób, gdybym kazał Khalidowi uciekać. Może ci, którzy

stali na cyplu, utonęliby, gdybym poprosił, aby płynęli, może podjęli decyzję, zupełnie nie zważając na mnie. A co, gdybym stawił opór?

Wielu kwestionowało wkład policji. Przecież tam byliśmy. Ile osób moglibyśmy uratować, gdybyśmy okazali większą chęć ryzykowania własnym życiem? A jednocześnie - mając za broń jedynie kamienie, pewnie zostałbym kolejnym nazwiskiem na liście, kolejnym pogrzebem i portretem w wykazie zmarłych. Co dobrego by to przyniosło?

Jednak podczas pogrzebu nie potrafiłem myśleć w ten sposób. Pełen winy i wstydu sądziłem, że to ja powinienem tego dnia leżeć w trumnie.

Dlaczego żyłem?

To pytanie stale zadawałem sobie po wydarzeniach na wyspie. Może zabójca nie strzelił z powodów technicznych, może broń się zacięła lub zabrakło mu amunicji. Jednak miał czas i możliwość, by ją przeładować. Nie słyszałem też kliknięcia karabinu.

Może wywołałem w nim ludzkie uczucia, przez co nie zdołał pociągnąć za spust. Może zrozumiał, że jestem bezbronny, i nie miał serca. Jednak skoro mnie oszczędził, dlaczego bez wahania wystrzelał wszystkich, którzy błagali o życie?

Może powinienem dziękować siłom wyższym? Czyżby spotkanie na kamieniu miało wymiar metafizyczny? Może strzegł mnie tam mój Anioł Stróż?

Pewnego dnia po powrocie do domu z pracy przy stole zastałem księdza i mamę, jedzących na obiad pstrąga z sałatką z ogórków. Niewiele osób w dzisiejszej Norwegii ma taki stosunek do duchownych, lecz w środowisku katolickim zapraszanie człowieka Kościoła do domu na posiłek nie należy do rzadkości. Kiedy skończyli, usiedli w salonie, a mama chciała, abym powiedział mu o swoich przeżyciach. Jako niewierzący poczułem się w tej sytuacji dziwnie, ale rozumiałem, że ta rozmowa jest dla mamy ważna.

Spustoszenie, jakie morderca uczynił na Utøyi, było walką dobra ze złem - powiedział ksiądz, gdy skończyłem swoją opowieść. Siłował się tam Bóg z szatanem, a ich pojedynek przybrał najwyraźniejszą postać, kiedy zabójca celował we mnie. W tamtej chwili zwyciężył Bóg. Bo Bóg kocha ludzi.

Utkwił we mnie wzrok.

- Bóg chciał, abyś żył, Adrianie.

Sam nigdy nie wierzyłem w moce nadprzyrodzone. Od małego interesowało mnie, jak działają różne

rzeczy. Podczas samochodowych wycieczek w dzieciństwie siedziałem jak zauroczony na przednim siedzeniu, wyobrażając sobie tysiące procesów zachodzących pod maską.

W głowie nie mieściło mi się, jak Bóg, jeżeli istnieje, mógł w ogóle pozwolić na coś takiego. Dlaczego miałby bardziej kochać mnie niż wszystkich zmarłych i ich bliskich? Jako zdeklarowany homoseksualista nie należałem też raczej do kategorii dobrych katolików w rozumieniu księdza.

A jednak w jego słowach odnalazłem pewien sens. Jeżeli spotkanie z zabójcą na kamieniu nie było walką Boga z szatanem, to przynajmniej pojedynkiem dwóch pragnień. Jego woli zabijania i mojej woli życia. Nasze spojrzenia skrzyżowały się. Może dałoby się powiedzieć, że rozegrała się między nami walka dobra ze złem, a dobro w końcu wygrało. Pocieszająca była możliwość dodawania temu zdarzeniu tak głębokiego znaczenia. W moim poszukiwaniu sensu w tym, co bezsensowne, wyjaśnienie księdza stanowiło stały punkt zaczepienia. Mimo to nadal brakowało tego, co dla mnie najistotniejsze, czyli odpowiedzi na pytanie:

Dlaczego?

Również z tego powodu dość wcześnie postanowiłem, że muszę ponownie spotkać zabójcę, pomimo przestróg przyjaciół i rodziny. Wydawało mi się to całkiem logiczne. Opuszczając broń i odchodząc, stworzył między nami pewną więź. Na początku znałem tylko jego nazwisko. Kiedy później okazało się prawdopodobne, że działał sam, jeszcze bardziej przekonałem się, że nie mogę dać za wygraną, dopóki znów nie stanę z nim twarzą w twarz.

W marzeniach zacząłem już wyobrażać sobie przebieg naszej rozmowy. Co powiem, co on powie. Tylko on znał odpowiedź, o ile w ogóle istniała.

UROCZYSTOŚCI UPAMIĘTNIAJĄCE

- Nie damy się zastraszyć i nie zamilkniemy. Wtedy oni zwyciężą. AUF będzie dalej wspierać nasze idee, odpowiedzią na przemoc i terror będzie jeszcze większa demokracja. Wrócimy na Utøyę - powiedział Eskil Pedersen podczas konferencji prasowej zorganizowanej przez AUF 23 lipca.

Myśl o „odzyskaniu Utøyi" pojawiła się, innymi słowy, wcześnie, będąc niemal odruchową reakcją na to, co spotkało AUF jako organizację oraz Norwegię jako naród. Dość prędko założono fundusz pamięci ofiar, fundusz imienia 22 lipca na rzecz odbudowy wyspy, mający zarządzać pieniędzmi wpłacanymi później przez darczyńców i innych pomagających. W kolejnych tygodniach retoryka na temat wyspy Utøya dotyczyła w większości sprzeciwienia się intencjom mordercy, tego, by nie dać mu wygrać. Kojąca była

myśl, że AUF i sprawca nadal toczą między sobą walkę, z której mogliśmy wyjść zwycięsko. Wizja powrotu do tego, co minęło, do raju, którym była Utøya, działała krzepiąco w czasie, kiedy nic nie było takie jak dawniej.

Gdy pewnego dnia w skrzynce pocztowej znalazłem list z norweskim godłem i podpisem premiera Jensa Stoltenberga oraz zaproszeniem na Utøyę miesiąc po strzelaninie, czułem, że to właściwe i konieczne, chociaż każdy nerw w moim ciele stawiał opór.

Oficjalne uroczystości upamiętniające ofiary zamachów w Oslo i na wyspie Utøya miały trwać trzy dni i angażować ogromny aparat personelu medycznego, policji oraz wolontariuszy. Wszyscy, których wydarzenia na wyspie dotknęły w bezpośredni sposób, mieli otrzymać możliwość ponownego odwiedzenia tego miejsca, tym razem w bezpiecznych, kontrolowanych okolicznościach. Zapewniano przejazd, pobyt, wyżywienie. Za wszystko płacił rząd. Na piątek, 19 sierpnia, wyznaczono termin wizyty krewnych ofiar. W sobotę mieli przyjechać ocaleni i ich najbliżsi. W niedzielę, 21 sierpnia, wszyscy mieli wziąć udział w wielkim wydarzeniu w hali widowiskowej Oslo Spektrum.

Przez tygodnie poprzedzające ten sierpniowy weekend policja wraz z Norweską Pomocą Humanitarną wykonała znaczną pracę, porządkując teren wyspy. Najpierw zabezpieczono materiały dowodowe. Później kawałek po kawałku usunięto inne pozostałości po masakrze. Krążąc po wyspie, sprawca oddał co najmniej sto osiemdziesiąt sześć strzałów, więc celem było zebranie wszystkich łusek, wydobycie wszystkich pocisków z drzew i ścian. Krew i szczątki zmyto ze ścian i podłóg, wysepek i szkierów. Ubrania i przedmioty osobiste posortowano i przechowano, aby ocaleni i bliscy zmarłych mogli je później odebrać.

Podczas gdy wyspę przygotowywano na spotkanie z nami, my sami przygotowywaliśmy się na spotkanie z wyspą. Swój pierwszy dyżur w biurze spędziłem już w dniu wypisania ze szpitala. Później nie robiłem zbyt wiele. Z początku wystarczyło mi przebywanie wśród kolegów i przyjaciół. Sprawdzanie e-maili, wypicie kawy i zapalenie papierosa na parkingu.

Poprzedniej niedzieli rozpoczęła się kampania do wyborów samorządowych. Za porozumieniem partii wszelkie imprezy polityczne odwołano do tego dnia. Wtedy odżyło też biuro. Po trzech tygodniach szoku i żałoby mieliśmy spore zaległości.

Partia musiała przygotować stoiska, rozdać ulotki na dworcu autobusowym osobom dojeżdżającym rano do pracy, wziąć udział w debatach. Jako jedyny etatowy pracownik AUF-u w Telemarku dodatkowo odpowiadałem za kampanię wyborczą w szkołach. W biurze było coraz więcej do roboty. W zasadzie mi to odpowiadało, bo wraz ze zbliżaniem się uroczystości upamiętniających coraz bardziej narastały moja niecierpliwość oraz wieczna potrzeba, by być czymś zajętym.

W ostatnim tygodniu przed wydarzeniem moje ciało jak gdyby zaczęło przygotowywać się na ponowne spotkanie z Utøyą. W nocy coraz gorzej spałem. Co rano budziłem się z przyspieszonym tętnem. Od czasu marszu z pochodniami prawie nie płakałem. Co się stanie, kiedy tam wrócę?

W piątek po południu siedziałem ze Sveinem Gustafem w samochodzie w drodze do Oslo. Pogoda nie różniła się za bardzo od tej w piątek poprzedniego miesiąca. Deszcz tłukł w przednią szybę, a chmury wisiały nisko nad czubkami drzew. Po raz pierwszy od 22 lipca mieliśmy okazję spokojnie porozmawiać o tym, co się stało. Powiedziałem mu o swoim pobycie w szpitalu, o samotności i niecierpliwości.

Svein Gustaf zajmował się meldowaniem gości, kiedy fałszywy policjant zaparkował swoje auto. Był więc jednym z pierwszych, którzy go spotkali. Mężczyzna poinformował, że chce zabezpieczyć wyspę po ataku bombowym w Oslo, i poprosił o wezwanie promu. Zapytawszy o dowód tożsamości policjanta, Svein Gustaf zadzwonił po MS „Thorbjorna", który stał wtedy zacumowany u brzegu wyspy.

Strzały usłyszał jakieś pięć minut po dopłynięciu promu. Niedługo później przyszła wiadomość: „Jest tutaj policjant, który strzela!"

Svein Gustaf mówił o bezsilności, którą odczuwał, stojąc na lądzie i nie mogąc nic zrobić, podczas gdy na wyspie rozbrzmiewały strzały.

Wkrótce potem ponoć również ja do niego zadzwoniłem, chociaż zupełnie nic nie pamiętam z tej rozmowy.

- Musisz mi pomóc! - krzyknąłem do słuchawki.

- Zrobię, co w mojej mocy - odpowiedział Svein Gustaf.

Wielu uczestników uroczystości musiało odczuwać potrzebę, by zapomnieć o przeżyciach z wyspy Utøya. Ja natomiast coraz bardziej pragnąłem dowiedzieć się, co się stało. Ponieważ nie miałem możliwości

porozmawiać z innymi AUF-owcami, nie mogłem uzupełnić swoich wspomnień z tego dnia. Historia Sveina Gustafa była tego przykładem. Inny szczegół wyjawiła mi Elisabeth, która opiekowała się Mikiem. Kilka tygodni po 22 lipca przypomniała mi, że dzwoniła do mnie podczas strzelaniny, a ja odebrałem telefon i bez wysiłku, niemal zwyczajnym tonem powiedziałem: „Chowam się właśnie w krzakach. Mogę oddzwonić?".

Czy zapomniałem też inne fakty? Co mówiłem i robiłem, a co ułatwiłoby mi zrozumienie wydarzeń tego dnia? Czy ponowna wizyta na wyspie, przebycie trasy ucieczki, a zwłaszcza powrót na kamień wydobędą nowe wspomnienia?

Dlatego po naszym przyjeździe do Oslo tak samo zależało mi na odwiedzinach w TV2. Dzień wcześniej zadzwonili, aby dowiedzieć się, czy skomentuję dla nich materiał wideo, do którego zyskali dostęp. Jak się okazało, jakiś niemiecki turysta filmował Utøyę od strony lądu i uchwycił zabójcę, kiedy ten poruszał się po południowym krańcu wyspy. Dziennikarz chciał przede wszystkim, abym pomógł im wyjaśnić, co widać na filmie. Jeżeli oglądanie nagrania byłoby dla mnie zbyt trudne, mogłem w każdej chwili przerwać.

Ile czasu spędziliśmy w tym studiu montażowym? Godzinę? Dwie? Klip wielokrotnie przesuwał się po ekranie. Najpierw widzieliśmy zdezorientowanych gapiów, obserwujących dramat z drogi krajowej. Po jakimś czasie turysta skierował kamerę na wyspę. Ujrzeliśmy zabójcę na kamieniu, jak zwraca broń ku ziemi, oraz jak oddział Delta prawdopodobnie po usłyszeniu strzału rzuca się za nabrzeże MS „Tborbjorna". Dziennikarz zatrzymywał nagranie wielokrotnie, by wyjaśnić różne kwestie. Szczególnie zależało im na jednym - na salwie strzałów.

Dwa strzały, jeden za drugim. Oddział Delta rzuca się za nabrzeże. Skołowana kamera szuka południowego cypla i w milisekundzie, gdy czarna sylwetka zabójcy pojawia się na tle stalowoszarej wody, jeszcze jeden strzał.

Podczas gdy montażysta przewijał w przód i w tył scenę strzału, gdy kamera przesuwała się od nabrzeża do kamienia, od policjantów do zabójcy, a strzał rozbrzmiewał bez końca, kawałki układanki zaczęły tworzyć w mojej głowie spójną całość.

To musiał być ostatni strzał na Utøyi. I to ja leżałem na kamieniu i go przyjąłem.

Tego wieczoru się upiliśmy. Nawet Svein Gustaf, który na ogół nie tyka alkoholu, wypił parę kolejek.

Można się zastanawiać, jaki to miało sens, ale może musieliśmy odreagować. Lub na krótką chwilę zapomnieć o jutrze.

W sobotę o dziewiątej rano miałem za sobą zaledwie parę godzin snu. Recepcję wypełniali podenerwowani AUF-owcy, ich rodzice i rodzeństwo, lecz kiedy Svein Gustaf i ja byliśmy gotowi, by wsiąść do autobusu, hotel wydawał się niemal opustoszały. W rogu, za stolikiem z broszurami informacyjnymi na temat stresu i żałoby, siedzieli reprezentanci władz. Pod drzwiami obrotowymi straż pełnili dwaj policjanci.

Każdy obozowicz mógł wziąć na wyspę jedną bliską osobę. Mama chciała mi towarzyszyć, ale ja wcześnie dałem jej do zrozumienia, że muszę przejść przez to sam. Po pierwsze wybieranie kogoś kosztem innych wydawało mi się niewłaściwe. Po drugie miałem więcej niż dość własnych uczuć związanych z wyspą, żeby jeszcze musieć myśleć o innych.

Wyjechaliśmy z hotelu ostatnim autobusem. Svein Gustaf zasnął na swoim siedzeniu. Po drugiej stronie przejścia siedział wolontariusz z Czerwonego Krzyża, który próbował przygotować mnie na to, co nadchodziło. Powiedział, że będziemy mieć wolny dostęp

do wyspy. W każdym miejscu, gdzie znaleziono zabitych, będą stali ludzie z policji kryminalnej, którzy udzielą informacji na temat zdarzenia. Na wyspie dobrze reprezentowany będzie też personel zespołu kryzysowego.

Kiedy człowiek z Czerwonego Krzyża mówił, we mnie rósł niepokój. Gdy autobus wreszcie miał przecisnąć się stromymi zakrętami z wioski Sollihogda do fiordu Tyri, czułem się jak zwierzę w klatce, gotowe lada moment rozszarpać wyposażenie pojazdu.

- Prom cały czas pływa tam i z powrotem - powiedział wolontariusz. - Jeżeli chciałbyś wyjechać z wyspy, możesz to zrobić w każdej chwili.

Policja wprawnie kierowała ruchem drogowym na odcinku ostatniego kilometra w stronę wyspy Utøya. Na miejscu mogliśmy tylko przejść pieszo na nabrzeże. Zeszliśmy już do połowy wzgórza, kiedy Svein Gustaf zawołał:

- Przecież tam stoi borówka!

I rzeczywiście mój samochód stał samotny na parkingu dokładnie tak, jak zostawiłem go cztery tygodnie wcześniej. Może nadal pachniało w nim truskawkami i wódką. Może w hermetycznie zamkniętym aucie nadal był czwartek, 21 lipca. Jedyny

kluczyk do samochodu leżał w namiocie na wyspie Utøya, a póki co nic nie wskazywało na to, że ma się odnaleźć.

Nad samym fiordem spotkaliśmy wielkie zgromadzenie policji i personelu pomocniczego. Na nabrzeżu rozbito trzy duże namioty. W jednym z nich grupa wolontariuszy rozdawała kamizelki ratunkowe wszystkim przeprawiającym się na drugi brzeg. W drugim stali ludzie z zespołu zarządzania kryzysowego gotowi do rozmowy z uczestnikami. Na tablicy wywiesili zdjęcia pokazujące, jaki widok czeka nas na miejscu.

A po drugiej stronie cieśniny leżała Utøya.

Tego przedpołudnia z nabrzeża widziałem wyspę taką, jaką przedstawiały pierwsze strony gazet. Szarość poprzedniego dnia minęła i wyjrzało słońce. Połyskująca woda. Ciemnozielona kropla w oddali. Przypominała miejsce, które poznałem przed 22 lipca. A jednak w otoczonym gęstym lasem głównym budynku było coś niepokojącego. Nigdy nie wierzyłem w życie po śmierci, lecz w miejscach, gdzie zginęli ludzie, jest coś wyjątkowego. Jak gdyby na zawsze się zmieniają. Jakby zmarli zostawili tam po sobie swój ślad.

Kiedy zamknęła się przed nami forta dziobowa MS „Thorbjorna", silnik przyspieszył, a łódź odbiła od brzegu, na nowo wezbrał we mnie niepokój. Czy to ma się stać już teraz? To tutaj ma nadejść mój wielki kryzys? Spodziewałem się silnej reakcji, oczyszczenia, które mogłoby zmniejszyć ciężar mojego brzemienia. Z drugiej strony mrok, jaki w sobie nosiłem, był tak potężny i przytłaczający. Jak zniosę moment, kiedy miałby wydostać się na zewnątrz?

Właśnie przez to mój oddech pod ogromną kamizelką ratunkową przyspieszył. Jednak nim przebyliśmy pół drogi przez cieśninę, coś się stało. Ogarnęło mnie zaskakujące, choć znane uczucie. Uczucie wyczekiwania i radości, które towarzyszyło mi na pokładzie MS „Thorbjorna" od mojej pierwszej przeprawy parę tygodni wcześniej. I kiedy forta dziobowa otworzyła się, a główny budynek, boisko piłkarskie i nabrzeże wolno, lecz nieuchronnie ukazały się moim oczom, nie miałem już wrażenia, że to wyspa z koszmarów, lecz ta wyspa, którą pierwszy raz odwiedziłem parę tygodni temu.

To właśnie uczucie większość z nas dzieliła w dniu, gdy spotkaliśmy się na obiedzie w Domu Ludu. Odnaleźliśmy dawną Utøyę.

Co prawda było też parę chwil, kiedy chciałem stamtąd uciec. Na przykład gdy weszliśmy do wielkiej sali. Zabito tam tyle osób, tyle płaczu słyszała ta niewielka przestrzeń. Przedstawiciel policji kryminalnej powiedział nam, jak ich znaleziono. To dziwne, ale nie musiał właściwie nic mówić, bo kiedy już wskazał miejsce na podłodze, wyraźnie stanęli mi przed oczami.

Kamień zostawiłem sobie na koniec. Potrzebowałem czasu, by się do tego przygotować. Dlatego wybraliśmy też dłuższą drogę: trasę ucieczki od pola namiotowego przez las aż do brzegu. Po kilku tygodniach opadów poziom wody był dużo wyższy niż zwykle. Ostatnie metry musieliśmy przejść Ścieżką Miłości. Czułem wewnętrzny opór, lecz gdy doszliśmy na miejsce, wszystko wyglądało inaczej. Krzaki, w których chowałem się przed zabójcą w trakcie pierwszej godziny, stały do połowy w wodzie. Kamień, który tamtego piątku wystawał z fiordu Tyri jak czarna krawędź, był ledwie widoczny pod taflą wody.

Później ludzie zebrali się przy scenie na wzgórzu, aby wysłuchać apelu Eskila. Powtórzył hasło o odzyskaniu wyspy. Powiedział, że zmarli zginęli za coś,

w co wierzyli. Organizowanie obozu na Utøyi będzie najlepszą formą uczczenia ich pamięci. Mówił o pokoleniu wyspy Utøya, o nierozerwalnej więzi, która teraz nas łączy. To była tragedia - oznajmił - lecz wspólnymi siłami możemy się z niej otrząsnąć.

Wtedy rozległ się śpiew.

Trudno stwierdzić, czy był planowany, czy ktoś pod sceną spontanicznie zaintonował piosenkę. Jednak niedługo później wszyscy na całe gardło śpiewali *My jesteśmy AUF-owcy* tak głośno, że nawet wspominały o tym relacje dziennikarzy zebranych po drugiej stronie cieśniny.

Zamiast francuskich ciastek, kawy, egoizmu
Chcemy czerwonych flag, pieśni, socjalizmu.
Bo dość już mamy tego pesymizmu.
A wielkie wizje są dziełem optymizmu.

Podczas jednej z przerw na papierosa na chodniku pod Domem Ludu jakaś dziewczyna podeszła do mnie, by pogadać. Uśmiechała się całą sobą. Dokładnie tak samo jak wtedy, gdy spotkaliśmy się pod sceną na wzgórzu po śpiewie i apelu Eskila. Przykuśtykała do mnie o kulach.

- Pamiętasz mnie? - zapytała, a ja nie odpowiedziałem, tylko przyglądałem jej się badawczo. Czarne, kręcone włosy. Ciepłe, brązowe oczy. Nagle mnie olśniło.

- Alexandra - powiedziała, podając mi dłoń.

Na wyspie nie zdążyliśmy zbyt wiele porozmawiać. Na chodniku w ten przyjemny, letni wieczór wspomnienia na nowo odżyły. Ciepło i przepychanki pod kurtką przeciwdeszczową. Pomarszczone palce. Desperackie rozmowy o fajkach. I śmiech. Droczyła się ze mną, mówiąc, że nie byłem dżentelmenem, bo nie oddałem jej całej kurtki. Ja zażartowałem, że strasznie marudziła z powodu swojej nogi. Jednak zasadniczo śmialiśmy się z jeszcze smutniejszych spraw. Z rzeczy, których nikt poza nami pewnie nie uznałby za zabawne. Im dalej się posuwaliśmy, tym głośniejszy był nasz śmiech. Raz po raz posyłaliśmy sobie niepewne spojrzenia. Czy naprawdę wolno nam z tego żartować? Może nie, ale wtedy wydawało się to ważne.

- Biegłam wtedy z wieloma osobami, ale najlepiej pamiętam chwile pod kurtką przeciwdeszczową - powiedziała.

- Nie wiem, czy bez ciebie bym sobie poradził - odparłem.

- Dlaczego wszyscy dobrzy chłopcy to geje?

Uśmiechnąłem się. Była fantastyczną dziewczyną. Taką otwartą i niezarozumiałą.

- Jak twoja noga?

- Sam zobacz - powiedziała, po czym uniosła sukienkę.

Miała na sobie białe rajstopy. Materiał opinał ściśle jej nogę od łydki aż do kolana, ale pośrodku uda nagle wcinał się w głąb. Strzał pozostawił dużą wklęsłość. Zniknęła spora część mięśni.

- Odłamki zaczęły się przemieszczać - dodała.

Najpierw podniosła sweter i pokazała mi brzuch. Później podwinęła rękawek koszulki, żeby pokazać wnętrze ramienia. Wyraźnie widać było małe, objęte zapaleniem kropki pod skórą. Tak samo jak mnie wypełniały ją drobniutkie, ostre kawałeczki metalu. Lekarze mówili, że nie ma sensu ich operować. Że prędzej czy później same wyjdą. Ja nadal miałem w ramieniu ponad sześćdziesiąt odłamków. Lata, a może całe życie potrwa, nim wszystkie się wydostaną.

Następnego dnia w Oslo Spektrum miała się odbyć uroczystość upamiętniająca ofiary, a optymizm poprzedniego wieczoru został wystawiony na ciężką

próbę. W obecności ocalonych, rodzin, ekip ratunkowych, koronowanych głów i polityków norwescy artyści wykonywali pieśni i wygłaszali teksty na cześć zmarłych. Siedziałem na sali z mamą u jednego boku i siostrą Kathariną u drugiego. Pod koniec ceremonii na scenę wyszło pięciu aktorów, każdy ze swoją książką. Jedno po drugim wyczytali nazwiska ofiar.

To wtedy ją rozpoznałem. Poprzedniego wieczoru widziałem w hotelu jej rodziców. Krążyli z jej nazwiskiem na kartce, ale bez zdjęcia. Gdy podczas ceremonii odczytano nazwisko, a fotografia ukazała się na ekranie, poczułem ukłucie. Przecież to dziewczyna zabita w wodzie. Musiała podryfować z dala od wyspy, nim ją znaleziono. Nagle poczułem potrzebę, aby odnaleźć jej rodziców i im o tym powiedzieć. Ale co, jeśli wcale tak nie było? Może już wiedzieli, gdzie ją znaleziono i co się z nią stało? A jeśli to faktycznie ona: w jaki sposób powiedzieć matce i ojcu o tym, jak zginęła ich córka?

Jej wspomnienie należy do tych, które najbardziej mnie dręczą. Przez kilka tygodni pojawiała się w mojej głowie za każdym razem, gdy zamykałem oczy. Strach w jej spojrzeniu, płacz, gdy wpadała do wody. Wiedziała, co zaraz nastąpi. To było takie brutalne.

Strzał za strzałem. Kule trafiały za każdym razem prawie w to samo miejsce, pośrodku pleców, a każde trafienie było jak cios zadany pięścią w nagie ciało. Większość osób, których śmierć widziałem tego piątku na Utøyi, miała na sobie ubrania. Ona była na pół naga, więc mogłem zobaczyć, co pociski robiły z jej ciałem. Później leżała spokojnie w wodzie. Bez wątpienia zginęła w tamtej chwili na moich oczach.

Jak mielibyśmy zorganizować obóz letni w miejscu, gdzie rozgrywały się takie sceny? Mieliśmy kąpać się przy tych samych kamieniach, grać w piłkę na tych samych łąkach? Chodzić na wieczorne spacery tymi samymi ścieżkami? Może w sobotę odzyskaliśmy wyspę, lecz w niedzielę wróciło zwątpienie. Co tak naprawdę oznaczało zwycięstwo?

SPOTKANIE W SĄDZIE

Nikt nie mógł powiedzieć, że nas nie ostrzegano. Jeszcze przed uroczystościami upamiętniającymi pierwszy psycholog wyspecjalizowany w sytuacjach kryzysowych zapowiedział w mediach trudną jesień dla ocalonych z zamachów terrorystycznych na Utøyi i w dzielnicy rządowej.

Gdy z czasem zainteresowanie mediów zabójcą i jego ofiarami zmaleje, większość osób, których wydarzenia nie dotknęły bezpośrednio, będzie odczuwała potrzebę, by o nich zapomnieć - brzmiało ostrzeżenie. Jednak ofiary i ich bliscy będą musieli nadal męczyć się ze skutkami długofalowymi, smutkiem i traumami. Wtedy jednak muszą stawić temu czoło w pojedynkę. To będzie prawdziwy test. Dla poszkodowanych - czy potrafią się podnieść. I dla społeczeństwa - czy zdoła ich wesprzeć w potrzebie.

Kiedy kilka miesięcy po uroczystości upamiętniającej ofiary zacząłem pracę nad tą książką, chciałem przede wszystkim uporządkować obrazy przesuwające się w mojej głowie. Ekstremalny instynkt przetrwania obudził się we mnie, gdy tego dnia na kamieniu zdecydowałem się udawać martwego. Wtedy chodziło wyłącznie o to, by ujść z wyspy z życiem. Po 22 lipca ten sam instynkt ujawnił się pod postacią potrzeby zrozumienia. To, czego doświadczyłem ja i moi koledzy, wydawało się zupełnie pozbawione sensu. Czy gdybym mógł przelać wszystko na papier, zyskałoby to większe znaczenie? Czy zdołałbym pogodzić się z tym, co się stało? Im częściej zadawałem sobie takie pytania, tym jaśniej pojmowałem, że najważniejsze odpowiedzi znajdują się za murami, w zamkniętej celi więzienia Ila.

Ze względu na zakres sprawy i twierdzenia zabójcy, że należy do międzynarodowej sieci osób wyznających podobne poglądy, podczas pierwszego przesłuchania sądowego 25 lipca zadecydowano o jego całkowitej izolacji w areszcie przez okres czterech tygodni. Posiedzenie było niejawne, na salę nie wpuszczono prasy ani bliskich ofiar, jednak w drodze z sądu paru fotografów zdołało uchwycić na zdjęciach moment,

gdy uśmiecha się na tylnym siedzeniu policyjnego terenowego mercedesa. Kim jest ten mężczyzna?

W kolejnych tygodniach nie brakło teorii i wyjaśnień norweskich oraz zagranicznych mediów. Nie było dnia, by zabójca nie uśmiechał się do mnie z okładek brukowców. Przyjaciele i rodzina trzydziestodwulatka z zachodniego Oslo dołożyli każdy po swoim kawałeczku układanki, a media na próżno usiłowały połączyć je w zrozumiały obraz. Jednak dopóki okres izolacji zabójcy podczas kolejnych zamkniętych posiedzeń sądu przedłużano o następne tygodnie, również dziennikarze mogli nigdy nie uzyskać odpowiedzi na swoje pytania.

W listopadzie nadszedł dzień, który prędzej czy później musiał przyjść. Czwarte przesłuchanie sądowe miało się odbyć przy udziale publiczności. Początkowo sąd chciał, by zabójca zeznawał podczas wideokonferencji ze swojej celi w Więzieniu Państwowym Ha, lecz obrona złożyła apelację od tej decyzji do Sądu Najwyższego. W piątek, 11 listopada, ogłoszono postanowienie: oskarżony ma stawić się osobiście w Sądzie Rejonowym w Oslo. Dziennikarze i bliscy zabitych mogli po raz pierwszy na własne oczy zobaczyć sprawcę. Ja i wiele innych jego ofiar

miało ponownie spotkać się ze swym najgorszym koszmarem.

Tego dnia obudziłem się o świcie po źle przespanej nocy. Jadąc na północ, słuchałem w radiu pierwszych serwisów informacyjnych, w których donoszono o długich kolejkach pod sądem, o ofiarach i bliskich koczujących w śpiworach, by zapewnić sobie miejsce. Mój adwokat skontaktował się z sądem, aby dowiedzieć się, czy można zarezerwować dla mnie miejsce w głównej sali obrad, gdzie miał siedzieć zabójca, lecz powiadomiono go, że jest już komplet. Zorganizowano jednak transmisję wideo w kilku przyległych salach sądowych, gdzie mogłem się pojawić. W sumie pięćset siedemdziesiąt osób miało obserwować jawne przesłuchanie.

Gdy dotarłem do sądu nieco po ósmej, dobrze ponad trzy godziny przed rozpoczęciem posiedzenia, wiele z nich zdążyło już ustawić się pod wielkimi drewnianymi drzwiami. Nieco dalej na przestronnych schodach stały ekipy kilku norweskich kanałów telewizyjnych i dzienników, przeprowadzając wywiady z ocalonymi. Mnie samemu kierownictwo AUF-u wyraźnie przykazało, abym nie wypowiadał się już w mediach bez uprzedniego uzgodnienia tego z nimi.

Moi przełożeni woleli też, żebym zarzucił rozpoczętą pracę nad książką.

Udzieliwszy wielu wywiadów w ciągu tygodni po 22 lipca, stałem się wdzięcznym źródłem informacji dla dziennikarzy zajmujących się sprawą tragedii na Utøyi. Jednak wytyczne AUF-u wyraźnie stanowią, że sprawy polityczne mogą komentować jedynie mężowie zaufania i przewodniczący. Kilka dni przed publicznym przesłuchaniem dziennikarz „Aftenposten" skontaktował się ze mną przez Facebooka, chcąc wiedzieć, czy mam jakieś pytania do Knuta Storbergeta, który następnego dnia miał występować w parlamencie. Powiedziałem, że chciałbym zapytać Storbergeta o tysiąc spraw, że zdecydowana większość moich pytań pozostaje bez odpowiedzi, że moje podstawowe poczucie bezpieczeństwa zostało mi odebrane, a za to, że jeszcze żyję, nie mogę dziękować policji, państwu ani rządowi. Jako ofiara prawdopodobnie ostatniego strzału oddanego na wyspie mam własną potrzebę uzyskania odpowiedzi.

Później zrozumiałem, że pod tą opinią nie mogła podpisać się AUF, wewnętrznie rozdarta między własnymi poszkodowanymi a rządzącą partią matką. Dla mnie jednak rzeź na Utøyi była nie tylko atakiem

na organizację, lecz także na mnie jako człowieka. Moja walka na śmierć i życie była czymś osobistym, podobnie jak moje wypowiedzi.

Stanowisko AUF-u zakładało unikanie komentarzy w kwestiach związanych z procesem do czasu rozpoczęcia sprawy sądowej w kwietniu. Podczas publicznego przesłuchania 14 listopada nikt z AUF-u nie reprezentował nas, którzy byliśmy na wyspie. W związku z tym może nie powinno dziwić, że wielu ocalonych udzieliło tego dnia wywiadów. I że ja w drodze do sądu po swój bilet wydałem krótki komentarz dziennikarzowi z TV2, który wetknął mi mikrofon pod nos.

Ostatnia godzina przed rozpoczęciem posiedzenia strasznie się dłużyła. Kiedy wskazano mi salę, gdzie miałem zająć miejsce, wyszedłem na chwilę, by zapalić. Zakradłem się za róg i stanąłem w zacienionej alejce na tyłach gmachu. Co czeka mnie w środku? Czego dowiem się, widząc go po raz pierwszy od spotkania na kamieniu? Na pewno przygotował kilka słów dla ofiar. Co powie? Konieczność uczestniczenia w przesłuchaniu była dla mnie niemal potrzebą fizyczną, targały mną niekontrolowane uczucia, a teraz po tętnie i oddechu

poznawałem, że nadchodzi ten moment. Chyba lepiej, że nie siedziałem w głównej sali, bo gdybym kiedykolwiek miał się załamać, nie chciałbym, aby doszło do tego przy nim.

W drodze powrotnej zgasiłem papierosa. Pewnie już przyszedł. Może siedzi w głębi budynku i czeka, aż wprowadzą go na salę. Nie wiem dokładnie, co myślałem, biegnąc truchtem do wejścia, ale musiałem znajdować się w swoim świecie. Mijając róg od frontu gmachu, prawie wpadłem na jednego z policjantów stojących na straży pod głównymi drzwiami. Na ramię miał zarzucony olbrzymi karabin. Ułamek sekundy trwało, nim pojąłem, co tam robi, ale starczyło mi czasu na reakcję. Poczułem się, jakby ktoś chwycił mnie za kołnierz i cisnął z powrotem na Utøyę.

Kiedy wszyscy zasiedli w sali sądowej, do pomieszczenia weszła pracownica sądu w towarzystwie pielęgniarki. Pokrótce opowiedziała nam, co się będzie działo, co zobaczymy na każdym z dwóch stojących przed nami ekranów. Komentując obraz na żywo nadawany z pustej sali głównej, wskazała na drzwi, przez które wyjdzie oskarżony, po czym wyjaśniła, gdzie usiądzie on i reszta sądu. Zanim podziękowała, ostrzegła, że sytuacja może się okazać dla niektórych

bardzo stresująca. W razie czego należy skontaktować się z personelem medycznym.

Niedługo potem widzieliśmy, jak obrońcy, adwokaci poszkodowanych i sędzia weszli do sali i zajęli swoje miejsca. Sędzia zabrał głos i otworzył posiedzenie, a następnie poprosił policję o wprowadzenie oskarżonego. Najpierw dwóch policjantów stanęło po bokach drzwi. Później, po krótkiej przerwie, weszli dwaj następni funkcjonariusze, a między nimi on. W czarnym garniturze, białej koszuli ze spinkami na mankietach i turkusowym krawacie z szerokim węzłem. Wyglądał, jakby wybierał się na wesele. Największe wrażenie robiły jednak kajdanki.

Nie czułem potrzeby, by widzieć, jak cierpi, to nie dlatego tu przyszedłem. Chciałem jednak zobaczyć, że ktoś go pilnuje, że został zatrzymany i nikogo więcej nie skrzywdzi. Że norweski wymiar sprawiedliwości działa. Widząc go z rękoma skutymi przed sobą, otrzymałem jak dotąd najmocniejszy na to dowód. Za podniesioną głową i sztywnym uśmiechem wydawał się w moich oczach zupełnie obnażony. Był mały i malał coraz bardziej. Zwłaszcza gdy otworzył usta.

Po mowie wstępnej sędzia oddał głos oskarżonemu.

- Gdy dwie strony się spotykają, zazwyczaj obie mogą się przedstawić - powiedział. - Jak dotąd nie miałem takiej możliwości, więc zrobię to teraz. Jestem komandorem wojskowym norweskiego ruchu oporu i rycerzem przewodniczącym Zakonu Templariuszy w Norwegii, znajdującego się w centrum Europy. A jeśli chodzi o pana bezstronność, to zgłaszam wobec niej sprzeciw, ponieważ pozyskał pan swój mandat od organizacji wspierających wielokulturowość Norwegii. Wielokulturowość jest antynorweską ideologią nienawiści, stworzoną w celu dekonstrukcji norweskiej grupy etnicznej. Dekonstrukcja norweskiej grupy etnicznej oznacza czystkę etniczną Norwegów.

Sędzia przerwał mu, nim zdążył powiedzieć więcej.

- Dziękuję. Myślę, że tyle na razie wystarczy. Zadałem panu pytanie, czy przyznaje się pan do winy. Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

- Przyznaję się do czynów, ale nie do winy.

Ostatnio słyszałem jego głos, gdy krzyczał, że nas wszystkich zabije. Zapamiętałem go jako głęboki, męski, żołnierski ryk. Głos, który słyszałem teraz, przypominał bardziej mamrotanie niepewnego chłopca.

Po posiedzeniu wielu AUF-owców miało podobnie opisać go w mediach. Niektórzy nawet nazwali go piskiem.

Tak naprawdę był chyba dość normalny. To tylko nasze oczekiwania zostały wywrócone do góry nogami. Kiedy zabójca przebywał w izolacji w Ila, wyobrażenia o nim i o tym, co nam zrobił, rozrosły się mocno i pociemniały. Jednak gdy siedział w kajdankach i brzmiał jak człowiek, obłąkana istota żyjąca na własnej planecie, niemal nie mogliśmy uwierzyć własnym uszom.

Nigdy nie patrzyłem na niego jak na anioła śmierci, lecz gdy tak siedział, nerwowo poprawiając mankiety, poczułem coś na kształt rozczarowania. To ten człowiek zadecydował o moim losie? To w jego rękach było moje życie?

Pod koniec przesłuchania ostatni raz oddano mu głos. Rozłożył kartkę, na której miał chyba przygotowaną mowę. Teraz to powie.

- Rozumiem, że poszkodowani po raz pierwszy są tutaj obecni. Czy mogę przemówić do nich przez pięć minut? - zapytał.
- Nie, nie teraz - odpowiedział sędzia.
- Ach tak - odparł oskarżony.

POSŁOWIE

Życie składa się z niezliczonych decyzji. Niektóre podejmujesz sam, inne podejmuje się za ciebie. Z biegiem czasu skrzyżowania się wyrównują i coraz mniej wyraźnie widać to, co było twoim własnym wyborem, a co wyborem innych, kiedy zmieniłeś kierunek, w którym momencie twoje życie mogło potoczyć się inaczej.

Chwili, kiedy morderca opuścił broń i odwrócił się do mnie plecami, nie dało się tak samo wyrównać w pamięci. Wręcz przeciwnie, otwarła ona w mojej głowie portal prowadzący do tego decydującego punktu. Czy byłem w kawiarni z przyjaciółmi, na wycieczce z ojcem i Mikiem, czy w sklepie - mogłem bez ostrzeżenia zostać częściowo lub całkowicie ciśnięty z powrotem w to miejsce. Czułem, jakbym stał na krawędzi przepaści. Albo w drzwiach

samolotu na przelotowej wysokości. Jakby serce i żołądek wysysało mi przez gardło.

Czasami widziałem jedynie przebieg sytuacji. Celującego mordercę, siebie, gdy krzyczę, jego, jak opuszcza broń i odchodzi. Kiedy indziej historia przybierała inny obrót. Czułem, że postrzelono mnie w inne części ciała. W głowę. W serce. Wielokrotnie umierałem. Wtedy następnym etapem był pogrzeb. Pojawiały się obrazy z ceremonii. Obrazy rodziny i przyjaciół pogrążonych w żałobie. Czasem nie mogłem opanować smutku, gdy słyszałem te wszystkie piękne słowa. W bardziej autoironicznych momentach rozpaczałem z powodu słabej frekwencji, nie mogąc nic z tym zrobić, albo irytowałem się, że mama i tata nie dość często podlewają kwiaty na grobie.

Ale na ogół samoistne powroty na kamień i do zabójcy przypominały jedynie wyczerpujące wykolejenia w mojej walce o odzyskanie dawnego życia. Dopóki musiałem się nad tym zastanawiać, dopóki nie wiedziałem, dlaczego mnie oszczędzono, dopóty nie mogłem wrócić do życia w jego dawnej postaci. Podczas gdy inni z czasem wyrazili chęć zostawienia za sobą wydarzeń, które rozegrały się na Utøyi, mnie męczyła jedynie większa potrzeba, by zrozumieć,

uzyskać więcej informacji o tym, co się stało, i o odpowiedzialnym za to człowieku. Dlatego codziennie śledziłem w Skien relację na żywo z procesu. W ten sposób mogłem przygotować się na dzień, kiedy sam miałem zeznawać w Oslo jako ostatni świadek w sprawie przeciwko oskarżonemu. Im więcej wiedziałem, tym lżejsze zdawało się moje brzemię.

Szóstego dnia sprawy dotyczącej 22 lipca wydarzyło się coś niespodziewanego. Po złożeniu zeznań na temat zajść na południowym krańcu wyspy, nie opisawszy wcześniej nikogo, kto mógłby mnie przypominać, sprawca został zapytany, czy chce coś dodać, zanim sąd zakończy to zagadnienie.

- Chciałbym podjąć kwestię jednego z ocalonych - powiedział oskarżony. - O nazwisku Pracoń. Uważa on, że go oszczędziłem, a ja nie powiedziałem nic na ten temat podczas przesłuchania policyjnego. Mam z tego jedynie szczątkowe wspomnienia.

Siedziałem w głównej sali Sądu Rejonowego w Dolnym Telemarku, czując przebiegające po ciele dreszcze. Ludzie w rzędach przede mną odwrócili się w moją stronę.

- Trochę trudno jest mi to sobie przypomnieć. Niektórzy mają wygląd lewicowców. Ale Pracoń wygląda

zdecydowanie prawicowo. Widząc go, zobaczyłem tak naprawdę samego siebie. Wiem, że wyglądam na prawicowca. Chyba dlatego go nie zastrzeliłem.

Odpowiedź. To na nią czekałem dziewięć miesięcy. Sam nawet rozważałem takie wyjaśnienie - że morderca w jakiś sposób błędnie się ze mną utożsamił. Tylko dlaczego ta odpowiedź ani trochę nie wpłynęła na intensywny niepokój, jaki nosiłem w sobie od dnia zamachów?

Czy musiałem znów stanąć z nim twarzą w twarz? Czy moje zeznanie ostatecznie wszystko zakończy? Znajdując się ledwie miesiąc później w sali numer 250 Sądu Rejonowego w Oslo jako ostatni świadek spośród ocalonych z Utøyi, czułem się nieskończenie silniejszy. Siedziałem tam ponad godzinę tylko trzy metry od niego, a mówiąc, patrzyłem mu prosto w oczy.

- Oszczędzając mnie, sprawca popełnił błąd - powiedziałem pod koniec zeznania. - Naprawdę rozumiem, ile warte jest społeczeństwo, jacy jesteśmy krusi i jak ważna jest polityka. Płomień z logo AUF-u tylko urósł w moich oczach, a Partia Pracy stała się bliższa memu sercu.

Kiedy wszystko się skończyło i wyszedłem z wychłodzonej sali rozpraw na ciepłe chodniki centrum

Oslo, słowa te chroniły mnie niczym zbroja. Ma żałować, że mnie oszczędził. Próbował zgasić mój ogień, lecz ja płonąłem jeszcze mocniej.

Tak czułem się tego dnia. I właśnie tak chciałbym to zakończyć. Chciałbym, aby ta książka mogła skończyć się 25 maja w Oslo, gdy słońce stało wysoko na niebie, a tylko jeden skok na główkę dzielił mnie od lata. Ale moja historia z Utøyi się nie skończyła. I nie miała happy endu. Ciągnęła się przez lato, przez pierwszą rocznicę zamachów aż po ciemną, norweską jesień. Przyjaciołom i rodzinie mówiłem, że jest raz lepiej, raz gorzej, lecz tak naprawdę tendencja była jedna. Walka o życie i codzienność stawała się coraz trudniejsza. W końcu wróciłem do punktu wyjścia. Do tamtego dnia na kamieniu, kiedy chodziło jedynie o przeżycie. 14 grudnia 2012 roku zrzuciłem maskę i napisałem wiadomość na swojej ścianie na Facebooku:

Po atakach z 22 lipca bałem się, kto będzie ofiarą numer siedemdziesiąt osiem. Choć samobójstwo jest tematem tabu, chcę nadal przypomnieć o tych, którzy codziennie walczą o odzyskanie własnego życia. Mówienie, że jest się zmęczonym walką, nie stanowi tabu, błędem nie jest też mówić, że potrzebuje się pomocy.

W poniedziałek rozpoczynam leczenie psychiatryczne, bo nie chcę być numerem siedemdziesiątym ósmym. Jestem zmęczony i potrzebuję pomocy, ale muszę odzyskać swoje życie.

To było wołanie o pomoc. Lecz w równym stopniu ostrzeżenie. Badania wykazały, że mniej więcej połowa ocalonych z Utøyi cierpi z powodu depresji i stresu pourazowego. Jeżeli pozostałymi zajmowano się tak słabo jak mną, wypadek był tylko kwestią czasu. Chciałem otwarcie wypowiedzieć się o tym w nadziei, że inni znajdujący się w tej samej sytuacji odnajdą pocieszenie i siłę.

Po 22 lipca wszystko zapowiadało nową kulturę otwartości. Wszyscy uważaliśmy, że te wydarzenia powinny skłonić nas do wymagania od siebie więcej. Więcej otwartości w postaci wzajemnej szczerości i dobrego przepływu informacji, lecz także w postaci większej tolerancji, lepszego stosunku wobec indywidualnych sposobów radzenia sobie z trudnymi przeżyciami. Dlatego zaskoczyło mnie, jak prędko wróciliśmy do tego, co było. Zamiast złożyć hołd policji, przedstawiano ją jedynie w kontekście wymówek na temat instrukcji i komend. Knut Storberget, który przez pierwsze godziny i dni po masakrze

był narodowym pocieszycielem na równi z Jensem Stoltenbergiem, został obwiniony o to, że poprosił adwokata jednego z poszkodowanych o ograniczenie krytyki działań policji.

W kręgach AUF-u z czasem coraz mniej mówiło się o otwartości, a więcej o „odpowiedzialności wypowiedzi". Nietrudno zrozumieć, że AUF pragnie oszczędzić ocalonych i bliskich ofiar, lecz dla osoby, która ledwo uszła z wyspy z życiem i która została poproszona przez tę samą organizację o zarzucenie pisania książki, bardziej niż cokolwiek innego wydawało się to krokiem w złym kierunku.

Nikogo nie chroni się, próbując kontrolować historię o Utøyi. Jednak przypominając ją i pokazując wszystkie jej niuanse, możemy uczynić ją dobrem powszechnym. Dopiero wówczas jako wspólnota będziemy mogli wyciągnąć naukę z tego, co się stało. Wtedy okaże się, że dziewczyna z wody i pozostałych siedemdziesięciu sześciu, których Anders Behring Breivik zabił 22 lipca, nie zginęło na marne.

Podziękowania

Gdy tata odwiedził mnie w szpitalu pierwszy raz po ataku, miał dla mnie książkę do czytania między operacjami i badaniami.

- Pewnego dnia powinieneś napisać o tym, co przeżyłeś na Utøyi - powiedział. - Może dzięki temu zrozumiesz.

Dziewięć miesięcy później moja historia stała się książką. Był to trudny, lecz konieczny proces, ważny sposób pogodzenia się z dramatycznymi wspomnieniami. Przez cały czas, który minął od 22 lipca, chciałem podziękować tak wielu osobom. Nie ma tutaj miejsca, by wymienić wszystkich, lecz mimo to chciałbym wyróżnić niektórych:

Dziękuję policyjnej jednostce Delta, która jako pierwsza przybyła nam z pomocą. Wylądowaliście na wyspie, narażając własne życie, a później musieliście znosić krytykę i zarzuty dotyczące decyzji, które podjął ktoś inny.

Dziękuję bohaterom z kempingu Utvika, ratownikom i pracownikom służby zdrowia, którzy przyjęli nas z ciepłem i czułością. Tego dnia nie tylko uratowaliście życia, lecz

pomogliście też odbudować poczucie bezpieczeństwa młodych ludzi, których ufność wobec świata zrównano z ziemią.

Dziękuję wszystkim, którzy zabrali głos w imieniu bliskich ofiar i ocalonych, czy to grupom wsparcia, politykom, adwokatom, czy innym członkom AUF-u. Razem jesteśmy silniejsi.

Dziękuję wydawnictwu Cappelen Damm, które o wszystko zadbało, pozwoliło mi stworzyć tę książkę na własnych warunkach, w swoim tempie i wykazało się imponującą delikatnością oraz zrozumieniem.

Dziękuję Erikowi Molierowi Solheimowi, który spisał tę książkę. Nasza ścisła współpraca przyniosła odpowiedzi na wiele pytań, których nigdy nie znalazłbym sam. Twoja obecność w moim życiu nadała kolorów temu, co wydawało się czarne.

Dziękuję mojej rodzinie. Mamie, tacie, Katharinie i Radkowi, którzy byli - każdy na swój sposób - nieocenieni w minionych tygodniach i miesiącach. Tragedia dotknęła również Was, ale jedyne, co otrzymałem od Was, to siła i odwaga.

I wreszcie, lecz co nie mniej ważne, dziękuję Sveinowi. 22 lipca na powierzchnię wypłynęła nienawiść. Odpowiedzią na nienawiść stała się miłość, a najbardziej z niej ceniłem sobie Twoją.

Od niego zależało, czy zginę, czy będę żyt.
Szukałem odpowiedzi w człowieku
zasłoniętym bronią, lecz widziałem jedynie
czarną przepaść celownika.
Ciało przygotowywało się na przyjęcie kuli.
Swędziała mnie skóra przy sercu, na czole.

Zanim zdążyliśmy się rozłączyć,
pojawiła się nowa rozmowa.
Dzwonił ojciec innego obozowicza.
Nigdy nie dowiedziałem się, którego.
Powiedział, że da mi znać,
gdy porozmawia z policją. Ostrzegłem go,
aby nie kontaktował się z innymi na wyspie.
W ubraniach rozrzuconych na cyplu
leżało dużo telefonów komórkowych.

Kurtka przeciwdeszczowa zakrywała mi głowę
do potowy, więc mogłem coś zobaczyć.
Jego buty.
Znajdowały się tuż przy mojej twarzy.
Kopał martwe ciała leżące wokół mnie.
Jakby chciał sprawdzić, czy ktoś jeszcze żyje.
Znów zacisnąłem powieki.

O osiemnastej sześć zaktualizowałem
status na Facebooku. Słowa przyszły same,
lecz zdrętwiałe z zimna palce
nie zdołały poprawnie złożyć liter:
„Strzlaina na Utøya.
Jstem tu i kocham was wszytkich”.

Brutalny akt terroru, który wstrząsnął światem

Norwegia 22 lipca 2011
Wyspa Utøya
Anders Breivik morduje 69 osób

Na wyspie Uteya trwa letni obóz młodzieżowy. Dzień jest spokojny, nic nie wskazuje, że za chwilę rozegra się tu straszliwy dramat. Radosną atmosferę przerywa wiadomość o wybuchach w centrum Oslo. Tymczasem po drugiej stronie wyspy do brzegu przybija łódź. Wysiada z niej uzbrojony Anders Breivik.

Poznajcie jedyną dotychczas wydaną relację świadka, który został ocalony z masakry na wyspie Utøya. Adrian Pracoń minuta po minucie relacjonuje przebieg wydarzeń tego pamiętnego i tragicznego dnia.

Dlaczego w spokojnej Norwegii doszło do ataku terrorystycznego?
0 czym myśli człowiek, kiedy ktoś mierzy do niego z broni?
Co czuje, gdy na jego oczach giną przyjaciele?
Czy po przeżyciu takiej traumy można w ogóle wrócić do normalnego życia?
Jak to jest spotkać się później twarzą w twarz z oprawcą?

Poruszająca relacja, która pozwala zrozumieć ogrom tej niebywałej tragedii

Opowieść rozkręca się powoli. Wręcz leniwie. Sielanka obozu mtodzieżówki Partii Pracy na wyspie Utøya przechodzi płynnie w trudny do zrozumienia koszmar. Dzięki chłodnej, ale niepozbawionej reporterskiego sznytu relacji, Adrian Pracoń sprawia, że stajemy się świadkami krwawych wydarzeń z 22 lipca 2011 roku. Autor - chłopak, który tylko cudem nie padł ofiarą Breivika, nie odpowiada na pytanie dlaczego ani co dalej. Norwegia potrzebuje wielu lat na przetrawienie masakry, by z fazy opisu i wspomnień, przejść do rozliczeń.
Ale to temat na następną książkę.

Jacek Pawlicki, szef działu zagranicznego „Newsweek Polska"

Pascal